

693

DR. BERTOLD
MERWIN
LEGIONY
W BOJU
1915
TOM II.



KRAKÓW 1916

NAKŁADEM CENTR.
BIURA WYDAWNICTW
NKN

693

~~648-38~~

~~39~~

LEGIONY W BOJU
1915

DR. BERTOLD MERWIN

LEGIONY
W BOJU
1915

II. BRYGADA NA BUKOWINIE
I POGRANICZU BESARABII

TOM II.

K R A K Ó W 1 9 1 5

NAKŁADEM CENTRALNEGO BIURA
WYDAWNICTW N. K. N.

K-130/87



M3081

BIBLIOTEKA UNIWERSYTECKA
im. Jerzego Giedroycia w Białymstoku



FJW0485707

*Cieniom tych, którzy za Sprawę polegli, których
mogły samotne wznoszą się i w karpackich
lasach i na bukowskińskich polach i na wschodnio-
galicyjskich niwach i na besarabskich ugorach -*

książkę tą poświęcam.

ODBITO W DRUKARNI NARODOWEJ W KRAKOWIE.



Wydawnictwo Literackie
 ul. Krakowska 10
 31-111 Kraków



8170415707

WYDAWCA: WYDAWNICTWO LITERACKIE W KRAKOWIE

SPIS ROZDZIAŁÓW TOMU II:

	Str.
I. Kirlibaba	13
II. Od Alp Rodniańskich po linię Dniestru	28
III. Wypoczynek w Kołomyji	47
IV. Translokacya	52
V. Dzień wiosenny	57
VI. Między granicami państwa a ziemią wroga	63
VII. Trzeci maja	75
VIII. Patrol	80
IX. Uroczystość w okopach	86
X. Dziesięć dni ofensywy na granicy Besarabii	91

SPIS ILUSTRACJI TOMU II:

	Str.
Pułkownik Zygmunt Zieliński przed swą ziemianką w okopach pod Rokitną z końcem czerwca 1915 — pułk. Haller — pułk. Januszajtis — podpułk. Minkiewicz	16
Podpułk. Roja — major Alfred Launhardt — kap. Zaleski, komendant Baonu 3 pułku — Śp. rotm. Wąsowicz	20
Pogrzeb kapitana Strzeleckiego w Kirlibabie	28
Biwak w Alpach rodniańskich	29
Pozycye na linii Dniestru	32
Karabin maszynowy w Jezierzanach	33
W zamieci śnieżnej pod Bortnikami	40
Grupa oficerów w Kołomyji	41
Komenda II Brygady	48
Szef sztabu II Brygady kap. Towarek	49
Kopanie rowów strzeleckich na granicy Bukowiny i Besarabii	56
Życie w okopach na kordonie Rozdorożnyj	57
Dr Loth, lekarz pułk. 3 pułku* — kap. Dunikowski, audytor II Brygady — oficer prowiantowy 3 pułku por. Przepiliński — por. Wiktor Gosiewski, komendant baterji	64
Czaty	80
Przed okopami 3 pułku krzyż wzniesiony przez Legionistów. Drzewa szrapnelami poniszczone. Granica Besarabii. Maj 1915	81
Ułani 2-go szwadronu	84
Ks. Władysław Antosz, kapelan 2 pułku	85
W służbie ordynansowej podczas ofenzywy: kap. Łuczyński adj. 2 pułku — por. Norbert Okołowicz — chor. Iwanowski — podpor. Dr. Górka, oficer ordynansowy komendy II Brygady	92
Pogrzeb rotm. Wąsowicza i uczestników szarży	96
Uczestnicy szarży na wzgórzu nad Rokitną (dnia 13. VI. 1915) ustawieni celem dekoracyi medalami za waleczność Rarańcze 24. VI. 1915	97

56. Przewidywanie pogody w Kiriłibabie
 57. Przewidywanie pogody w Kiriłibabie
 58. Przewidywanie pogody w Kiriłibabie
 59. Przewidywanie pogody w Kiriłibabie
 60. Przewidywanie pogody w Kiriłibabie
 61. Przewidywanie pogody w Kiriłibabie
 62. Przewidywanie pogody w Kiriłibabie
 63. Przewidywanie pogody w Kiriłibabie
 64. Przewidywanie pogody w Kiriłibabie
 65. Przewidywanie pogody w Kiriłibabie
 66. Przewidywanie pogody w Kiriłibabie
 67. Przewidywanie pogody w Kiriłibabie
 68. Przewidywanie pogody w Kiriłibabie
 69. Przewidywanie pogody w Kiriłibabie
 70. Przewidywanie pogody w Kiriłibabie
 71. Przewidywanie pogody w Kiriłibabie
 72. Przewidywanie pogody w Kiriłibabie
 73. Przewidywanie pogody w Kiriłibabie
 74. Przewidywanie pogody w Kiriłibabie
 75. Przewidywanie pogody w Kiriłibabie
 76. Przewidywanie pogody w Kiriłibabie
 77. Przewidywanie pogody w Kiriłibabie
 78. Przewidywanie pogody w Kiriłibabie
 79. Przewidywanie pogody w Kiriłibabie
 80. Przewidywanie pogody w Kiriłibabie
 81. Przewidywanie pogody w Kiriłibabie
 82. Przewidywanie pogody w Kiriłibabie
 83. Przewidywanie pogody w Kiriłibabie
 84. Przewidywanie pogody w Kiriłibabie
 85. Przewidywanie pogody w Kiriłibabie
 86. Przewidywanie pogody w Kiriłibabie
 87. Przewidywanie pogody w Kiriłibabie
 88. Przewidywanie pogody w Kiriłibabie
 89. Przewidywanie pogody w Kiriłibabie
 90. Przewidywanie pogody w Kiriłibabie
 91. Przewidywanie pogody w Kiriłibabie
 92. Przewidywanie pogody w Kiriłibabie
 93. Przewidywanie pogody w Kiriłibabie
 94. Przewidywanie pogody w Kiriłibabie
 95. Przewidywanie pogody w Kiriłibabie
 96. Przewidywanie pogody w Kiriłibabie
 97. Przewidywanie pogody w Kiriłibabie
 98. Przewidywanie pogody w Kiriłibabie
 99. Przewidywanie pogody w Kiriłibabie
 100. Przewidywanie pogody w Kiriłibabie

KIRLIBABA.

Kończyła się pierwsza dekada stycznia, gdy Legiony poszły w Alpy rodniańskie, w jeden z najpiękniejszych co do czarów przyrody, najprzerzeczniejszych co do stosunków kwatrowych i żywnościowych zakątków, z pośród wszystkich, w jakich dotychczas przebywały.

Po roztopach i szarugach, błotniskach i bajorach drugiej połowy grudnia i pierwszych dni stycznia, ścisnął mróz ziemię, a śnieg zaczął zasypywać stoki gór.

Z miasteczka Borsy, ostatniej stacji kolejowej po stronie węgierskiej, prowadzi romantyczna, pełna dziwów przyrody droga ku Bukowinie.

Stoją po bokach drogi faliste, lekko sfaldowane wzgórza alpejskie, dumnie strzelające ku firmamentowi olbrzymy, Pietros, Pop Iwan, Menczul.

Legiony idą przez Prislop, 1413 metrów wżwyż. Bajeczną serpentyną, wijącą się po stokach tej góry coraz śmielszemi skręty aż do samego szczytu, do samej przełęczy. Im wyżej w górę, tem śnieg większy, gęstszy, natrętniejszy. Wreszcie: zadym-

ka straszna, chaos białych płatów, kłębiących się wśród gęstej mgły — światła bożego nie widział! Wali ci w twarz z mokłą wciąż śnieg, otula cię warstwa stwardniałego, zlodowaciałego śniegu i tak sunie oddział za oddziałem przez Prislop na front.

Dnia 18. stycznia zeszyły nasze oddziały marszem bojowym z Prislopu w pobliże wroga.

Dyspozycje dla poszczególnych batalionów piechoty legionowej były następujące: grupa Januszajtisa miała pójść na prawo od gościńca, wiodącego z Prislopu do Kirlibaby, obejść teren prawymi stokami gór; grupa druga wraz z naszym oddziałem karabinów maszynowych miała ruszyć na lewe skrzydło z zadaniem uderzenia na prawe skrzydło pozycji nieprzyjacielskich, znajdujących się na stromych szczytach; batalion Launhardta zostaje wysłany, by śmiało obejściem wpadł niespodzianie na treny nieprzyjacielskie na linii Moldawa-Seletyn. Wszystkie inne zaś nasze bataliony piechoty, a więc Fabrycego, Zaleskiego i inne, dalej nasza artyleria i dalsze nasze oddziały karabinów maszynowych, pod komendą pułkownika Zielińskiego, miały forsować gościniec, wiodący ku Kirlibabie.

Bo o ten gościniec głównie chodzi. To klucz sytuacji. To jedyna droga, wiodąca na Węgry, główna arteria ruchu z głębi Bukowiny, z Kimpolungu, z Seletynu, z Dorna Watry.

Klucz ten sytuacyjny trzeba było koniecznie posiadać, koniecznie wyrwać z rąk wroga. Bo posiadanie go — to nietylko zastój w ofenzywnych krokach wroga w stronę wschodnich Węgier, Siedmiogrodu, lecz również umożliwienie z naszej strony wszelakiego ofenzywnego poczynania w stronę Bukowiny.

Więc poczęły się pięciodniowe, straszne, zawzięte, mordercze boje o ten klucz sytuacyjny, o gościniec z Prislopu do Kirlibaby i o tę miejscowość samą, boje, stoczone między 18 a 22 stycznia, a zakończone walnym zwycięstwem naszym, opanowaniem gościńca i miejscowości Kirlibaba, takim pobiciem wojsk rosyjskich, iż pozostawszy nam pole, rannych swych, trupy, broń swą, cofnęli się w poplochu na wielką odległość...

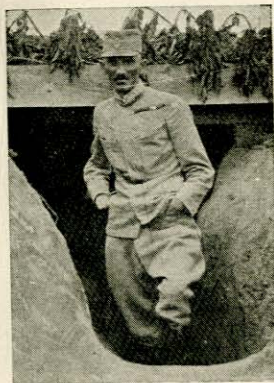
A było tych pięć dni zmagania się batalionów Legionów okropną szkołą wytrzymałości żołnierskiej, szkołą, jakiej nasi żołnierze nigdy jeszcze w ciągu swej służby wojennej nie przechodzili. Dniem i nocą leżą ludzie bez przerwy i zluźniania, na pozycjach, wśród śnieżnych pól, w lasach, na głazach górskich, w tyralierce, wśród zawieruchy, bezustannie elementarną mocą szalejącej. Ognisk palić nie wolno... Wróg zbyt bliżki... Ciepłej strawy ugotować niepodobna... Ogrzać się niema gdzie...

Krok w krok trzeba sobie było zdobywać teren. Od tak zwanego „Strasseneinräumerhaus“ po

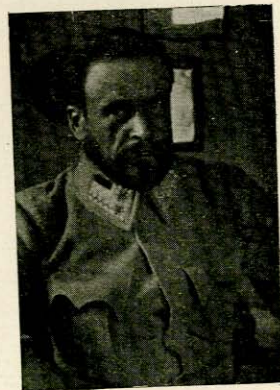
osadę Papfalwa, od Papfalwy do Kirlibaby. Zwłaszcza ciężki był początek. Na skalach przed Papfalwą nieprzyjaciel bardzo silnie się umocował, to też heroiczny był wprost wysilek półtorej kompanii naszych od wodzą kapitana Strzeleckiego, które 19-go ruszyły, celem oskrzydlenia tej skalistej pozycji wroga. Począł się w tym gęstym lesie, wśród zwałonych kłód, w niemal dwumetrowym śniegu, wśród zapadlin i wykrętów, bój na pięści niemal. Walczono na odległość kilkunastu kroków, wreszcie wprost — pierś o pierś. Ginie tu bohaterską śmiercią komendant 4 kompanii kapitan Strzelecki, ginie 8 legionistów, 14 otrzymuje rany.

Jest to moment krytyczny wogóle... Nieprzyjaciel otrzymuje znaczne posiłki, nasz front zaczyna wobec olbrzymiej przewagi chwiać się. Wtem wyjeżdża z ukrytych swych pozycji nasza trzecia bateria artylerii pod komendą Kaspra Wojnara, wśród gradu kul karabinowych i armatnich skierowuje działa na szeregi nieprzyjacielskie i poczyna piekielny ogień.

Nieprzyjaciel, doznawszy wielkich strat, cofa się jeszcze tej samej nocy na najbardziej na lewo wysunięty cypel skały, z czego oczywista następnego dnia skwapliwie korzysta artyleria legionowa. Zaczyna ostrzeliwać górę, zasypuje pozycje rosyjskie jednego dnia przeszło 200, drugiego dnia przeszło 600 strzałami. Skutek nadzwyczaj-



Pulk. Zygmunt Zieliński przed swą ziemianką w okopach pod Rokitną z końcem czerwca 1915.



Pulk. Haller.



Pulk. Januszajtis.



Podpulk. Minkiewicz.

ny! Nasze szybkostrzelne działa deprymująco działają na nieprzyjaciela. Jeńcy zeznają, iż pod wpływem naszego ognia artyleryjskiego, rosyjska tyraliera, ustawiona na cyplu skały, zwała w płochu...

Równocześnie, gdy się to dzieje i ta ważna baza strategiczna została odwagą wyprawy śp. Strzeleckiego i celnością działania naszej artylerii zdobyta, w dolinie, po obu stronach głównego gościńca, odbywają się intensywne ruchy wojskowe, toczy się silny bój, dokonywa się stałe, konsekwentne osłabianie nieprzyjaciela, który, cofając się, zostawia u skrajów lasów mnóstwo pozamierzanych na śmierć rannych, których nie zdołał już ze sobą unieść.

Kulminacyjnym momentem wszystkich tych potyczek jest dzień 21. stycznia, który stanowczo wreszcie przeważa szalę zwycięstwa na naszą stronę.

Bo oto jednemu z naszych batalionów udaje się wysunąć na północ, zepchnąć z prawej flanki nieprzyjaciela. I już ofenzywnymi rzutami silnych patroli sieje spustoszenie w centrum sił rosyjskich, w Kirlibabie.

Oto 30 legionistów batalionu Januszajtisa pod komendą chorążego Smorawińskiego urządza nocą śmiałą zasadzkę. Podsuwają się wprost bezczelnie wrogowi pod nos, opanowują most na Bystrzycy Złotej i wpadają do miejscowości Pa-



M3081

pfalwa o 4 klm. przed Kirlibabą, drwiąc sobie z salw rosyjskiego karabinu maszynowego, który w odległości 10 kroków od naszych zuchów wali jak zapamiętały, wybija Panu Bogu szyby, zaś naszym nic złego nie jest w stanie zrobić, gdyż są — zbyt blisko.

Szereg takich faktów, śmiałych ataków, brauwowych rzutów, powoduje konsekwentne posuwanie się naprzód naszych wojsk, zyskiwanie coraz więcej terenu. Wspomagane niezmiernie intensywnym ogniem naszej artylerii, ataki naszej piechoty zmuszają wreszcie nieprzyjaciela w nocy z 21. na 22. do opuszczenia w popłochu terenu operacyjnego.

O rozmiarach klęski, jaką Legiony zadały Moskalom, świadczy choćby to, iż nieprzyjaciel zostawił wszystkie przednie pozycje nieściągnięte; nie zdołał, nie miał już czasu ich ściągnąć. To też na zajęтым terenie mieliśmy łup obfity! Wzięliśmy z górą trzy setki żołnierza rosyjskiego, zajęliśmy olbrzymie zapasy amunicji rosyjskiej.

Działy się tu wprost rzeczy nadzwyczajne! Kapral Wójcik z 6 ludźmi zajmuje Kirlibabę od frontu! Idzie wprost gościńcem, po drodze przeprowadza masę Moskali i pierwszy uwiadamia komendę, że gros armii rosyjskiej pierzchno w popłochu. Albo wachmistrz kawalerii Kaczkowski, który ze swemi 6 ludźmi przeprowadza blisko 50 jeńca!

Już 22-go, z brzaskiem dnia, walne zwycięstwo było tak oczywiste, iż patrol 2. kompanii 2. pułku mógł się wysunąć o 10 klm. za Kirlibabę, w stronę Kimpolungu, nie spotykając ani śladu Moskala... Pobity i rozbity, ustąpił wróg na Seletyn.

Ile poza tą najogólniej przedstawioną historią tych pięciu dni mieści się znojów i nadzwyczajnych wysiłków jednostki i masy — tego oczywiście w krótkim notatniku nie sposób zawrzeć. Lecz trzeba przecież podkreślić kilka epizodów, które uwypuklą w umyśle czytelnika wrażenie całości kształtu bitwy pod Papfalwa-Kirlibaba.

Nasza kawaleria! Nasi legioniści Wąsowicza i Brzezińskiego! Walą bez tchu 18-go od świtu z Prislopu przez front. W „Strasseneinräumerhaus“ rozkaz: szwadron Wąsowicza ma służyć jako ochrona artylerii, szwadron Brzezińskiego, jako poparcie i wzmocnienie naszego prawego skrzydła. Więc rozsypuje się szwadron w tyralierę i pnie się ku górze. Podporucznik Stanisław Babiński ze swym plutonem dociera pierwszy do linii frontowej. Złomy drzew nieprzebytych dziewiczych lasów tworzą zapory, dochodzące wysokości 4 metrów, zwaliska, śliskie skały przysypane śniegiem, ustępującym się z pod nóg, uniemożliwiają szybkie posuwanie się naprzód. Mimo to, pluton Babińskiego, prażony po drodze gradem granatów ekrazytowych, wali do góry, odpo-

wiadając rzeźnię na ogień nieprzyjacielski i popierając skutecznie nasz front dopóty, aż nieprzyjaciel zostaje zmuszony do cofnięcia się...

Tak nasi dzielni jeźdźcy umieją walczyć na piechotę!

Albo w chwili zajęcia Kirlibaby! Gdy nieprzyjacielski opór był już przełamany, jednakowoż nie było pewnym, czy i jakie siły w opuszczonych przezeń terenach się mieszczą, szwadron Brzezińskiego otrzymuje rozkaz wysłania patroli wywiadowczej do Kirlibaby. Jest 7 rano. Patrol prowadzi wachmistrz Kaczkowski.

Na „oku“ szpicy jedzie kapral Konopka.

Podjeżdżają pod mięcinę, a tu widzą: przez gościniec ktoś chyżo przebiegł... Poznają szynel rosyjskiego piechura... Więc zostawiają patrol o kilkanaście kroków przed chałupą, do której wbiegł Moskal, a sami: Kaczkowski i Konopka, ująwszy rewolwery w dłonie, nagle otwierają drzwi do chałupy: karabiny rosyjskiej placówki, błyszczące bagnety...

Z miejsca wrzaśnie Kaczkowski: „Ruki w wierch“. I już z brzękiem upadają karabiny na podłogę. Całe towarzystwo wyprowadzają na pole, odbierają jeńcom broń i odsyłają pod eskortą do sztabu.

To jednak dopiero początek branki. Bo oto Kaczkowski z dwoma zaledwie kawalerzystami zostaje na miejscu, u wejścia do wsi, niejako stacya



Pułkownik Roja.



Major Alfred Launhardt.



Kap. Zaleski.



† Rotmistrz Wąsowicz.

odbiorcza przyszyłych jeńców, a Konopka z czterema zaledwo ludźmi rusza w środek wsi, na przeszukanie poszczególnych domostw. I oto co kilka minut powtarza się widowisko: jeździec nasz z wyciągniętym rewolwerem prowadzi Kaczkowskiemu kilku Mochów, którzy albo w pierwszych domostwach po krótkim oporze się poddali, albo przykucnięci ze strachu dali się wziąć. I tak 6 naszych kawalerzystów przyprowadza 49 jeńców rosyjskich...

Jednym z najsmielszych epizodów ostatnich walk była — jak to już poprzednio wspomniałem — wyprawa oskrzydająca, podczas której tragiczną śmiercią zginął jeden z najdzielniejszych oficerów polskich, kapitan Strzelecki.

Celem tej wyprawy było napędzenie strachu Moskałom, rozsnucie przed nimi widma oskrzydlenia przez nasze oddziały, ewentualnie spowodowanie ich pod grozą, iż nasz zamysł mógłby się przyczynić do zwiększenia ich klęski, do cofnięcia się. Manewru tego miało dokonać półtorej naszej kompanii batalionu Januszajtisa. Przez pięć przeszło godzin maszerują nasi legioniści wśród okropnych wprost warunków, poprzez maceczniki, zwaliska, złomy, śniegi. Wreszcie naszych 1½ kompanii znajduje się w odległości — 20 kroków od nieprzyjaciela.

Tu wywiązał się najpierw — jak za dobrych,

homeryckich czasów — dyskurs. Moskale udają, że chcą się poddać. I byliby może tem zwiedli naiwniejszych, niż nasi legioniści. Bo nasi, mimo mizdrzeń moskiewskich, zachowywali wszystkie środki ostrożności. I — jak się za chwilę przekonają mieli sposobność — dobrze na tem wyszli. Bo nagle — trzask — salwa! Wtedy nasi jak nie zaczęli pracować! Strzelecki prowadzi całą linię. Przekształca ją, szykuje, ustawia — i wśród tej pracy trafiony kulą w głowę pada na miejscu...

Krwawo mszczą nasi legioniści śmierć komendantów! Walka wrze na bagnety, na pięści! Wreszcie, spełniwszy swoje zadanie, wraca oddział, w porządku, zabrawszy z sobą nawet rannych do miejsca, z którego wyszedł. Niestety bez przywódcy...

Lecz spełniwszy swoje zadanie. Bo Moskale, bojąc się dalszego oskrzydlenia, cofnęli się ze swych pozycji...

Dnia 18. stycznia o 4-tej po poł. przybywa przed front naszą artyleria, Godlewski i Wojnar z swymi armatami, i wprost zostaje skierowaną na pozycje. Jeszcze tego samego wieczora rozpoczyna ogień... Lecz jest to tylko przygrywka, introdukcja przed właściwym bojem. W ciemność głęboką spowity jest szmat ziemi, na której pod gołym niebem spoczywają ludzie i konie, gdy o 2-giej w nocy rozlega się głos pobudki... Ma się rozpocząć bój.

Nasza artyleria zajmuje wśród głębokich ciemności pozycje. Druga bateria wzgórze na lewym skrzydle naszej linii frontowej, trzecia u stóp góry na drodze. O godzinie 10. rano rozpoczyna się bitwa. Trzecia bateria daje 80 strzałów, sama nie będąc w tym momencie walki jeszcze narażoną na odpowiedzi ogniowe.

Natomiast na piechotę naszego frontu nieprzyjacieli gwałtownie napiera. Silnym ogniem atakuje bataliony, umieszczone w lasach. Sytuacja stała się wielce krytyczną. Nieprzyjaciel bowiem opanował w zupełności drogę, jedyną komunikację, którą działa mogły się posuwać naprzód.

W tej chwili postanawia pułkownik Zieliński decydujący krok. Wysłał jeden pluton trzeciej baterii t. j. dwie armaty na skraj lasu. Wśród silnego gradu kul karabinowych piechoty rosyjskiej, umieszczonej o jakie 1.000 kroków od pozycji zajętej przez nasz pluton, rozpoczynają dwie nasze armaty ogień, którego efekt już po kilku strzałach okazuje się nadzwyczaj dodatnim. Oto ogień karabinów nieprzyjacielskich, zniewolony celnością naszych armat, milknie, a pod osłoną naszej artylerii posuwają się przed front dwa nasze karabiny maszynowe i zaczynają pracować i smażyć wroga. Równocześnie na lewym skrzydle druga nasza bateria, mimo, iż stoi w silnym ogniu nieprzyjacielskiej artylerii, zasypującej ją granatami, odpowiada silnym, morderczym ogniem.

Chwila współdziałania baterii drugiej i trzeciej, dwóch karabinów maszynowych, naszych batalionów piechoty, którym odpowiada wielka ilość dział rosyjskich — stanowi kulminacyjny moment bitwy tego dnia, a rozlegające się wszędzie odgłosy wystrzałów karabinowych, pękających szrapneli, eksplodujących granatów czynią wrażenie istnego piekła dantejskiego.

Wieczorem dziwnie dzwoni w uszach cisza po tym pełnym emocji dniu. Wojska nasze nocują w lesie, na śniegu, oparliśmy plecy o pnie drzew...

Następnego dnia, ledwo świt, pluton trzeciej baterii szykuje się do zajęcia tych pozycji, z których wczoraj tak skutecznie ział ogniem i umożliwił naszym karabinom maszynowym i piechocie opanowanie zajętych przez nieprzyjaciela miejsc. Lecz ledwo dwie nasze armaty ukazują się na skraju lasu, gdy zasypuje je grad kul nieprzyjacielskich. Nie może być w tej chwili i w tej pozycji mowy o funkcjonowaniu obsługi dział. Wtedy komendant baterii Kasper Wojnar zarządza cofnięcie się artylerzystów o kilkanaście kroków, celem zasłonięcia się przydrożnymi krzakami. Zarządzenie to jest tembardziej wskazane, że właściwie trzecia bateria miała rozkaz nie rozpoczynania ognia aż do nadejścia dyspozycji sztabu.

W południe przychodzi dyspozycja: trzecia bateria ma czynnie wkroczyć. Lecz jak rozpocząć

działanie, jak obsługiwać armaty, gdy kraj lasu zasypywany jest gęstym ogniem nieprzyjacielskim?

Wtedy zdobywa się komendant baterii Wojnar na brawurowy czyn. Ustawia armaty na drodze, za lasem, oddaje komendę nad ogniem chorążemu Janowi Boldowi, który dopiero z końcem grudnia za nadzwyczajne swe męstwo awansował z podoficera na chorążego, wysuwa się na sam skraj lasu, na przestrzeni między sobą i armatami ustawiając pojedynczych legionistów, niby żywy telefon, który kierującego ogniem Bolda ma uwiadamiać o skuteczności strzałów.

Rozpoczyna się ogień. Wprawdzie cel dla plutonu trzeciej baterii jest niewidoczny — przegradza go gęsty las od frontu, — ale kierunek strzałów wykreślają mu wkrótce świstające wokoło obsługi armat kule nieprzyjacielskie... Widocznie nasze armaty celują trafnie, bo kilka strzałów wystarcza, aby nieprzyjacielskie karabiny maszynowe zmusić do zamilknięcia...

Korzysta z tego oczywiście natychmiast nasza druga bateria, korzystają nasze bataliony piechoty, posuwają się naprzód i — losy dnia są rozstrzygnięte. Nieprzyjaciel musi się cofnąć, napór jego zostaje wstrzymany...

Trzecia bateria decyduje zwycięsko o sytuacji na całym naszym froncie.

Nazajutrz po zajęciu przez Legiony Kirlibaby — wszedł nad okolicą cudny dzień zimowy. Jakby rada, iż spokoju jej nie narusza już nic, iż tymi strasznymi łomotami, hukami, strzelaniną, okupiła sobie pokój — natura roześmiała się, rozszrebrzyła, połyskując jasnymi promieniami słońca. Lecz jak dziwnie, jak kontrastowo różnie od tego przepychu przyrody, tej bieli dalekich pól, tej ciszy wysokopiennych lasów, tej panoramy gór i skał — odbija obraz spustoszeń, widok pobojuwisk!

Wychodzimy rano z kwatery. Podłoga lepka, zwilgła, pokryta grubymi warstwami czerniałej krwi. Spało nas kilku twardym snem w izbie, w której kilka godzin temu konali Rosyanie, leżeliśmy na pokrwawionych tapczanach, w które wsiąkła krew ludzka... Wojna!

Idę na pobliskie wzgórze. Kupkami, po kilku, kilkunastu, leżą trupy rosyjskie... Podchodzę. Posiniałe ręce, poczerniałe głowy. Ten oto leży w kałuży krwi, która wysączyła mu się z okropnej rany w brzuchu, a tamten pławi się w czarnej kałuży, pomieszanej z wypryśniętym mózgiem. Tam oto leży ich pięciu, a wszyscy pocentkowani kulami naszego karabinu maszynowego, który tu istne spustoszenie spowodował... I ciągnie się ta „via dolorosa“ kilometrami.

Właśnie nasi uprzążają pobojuwisko. Kilofy roztrącają zmarzłą grudę; kopie się głębokie doły...

W pobliżu wznosi się na pagórku murowany kościół. Boże, jak on dziś wygląda! Patrzy w słońce pustemi, martwemi oczodołami pozbawionych szyb okien; dokoła fryzów dziury, wywalone granatami, cały front poorany kulami karabinowymi. Przed kościołem drewniany krzyż, którego nasadę wprost spiłował karabin maszynowy... Obok tego kościoła ustawili Rosyanie swą artylerię i tu rozegrała się jedna z najzawziętszych walk o Kirlibabę.

Toteż dokoła — spustoszenie.

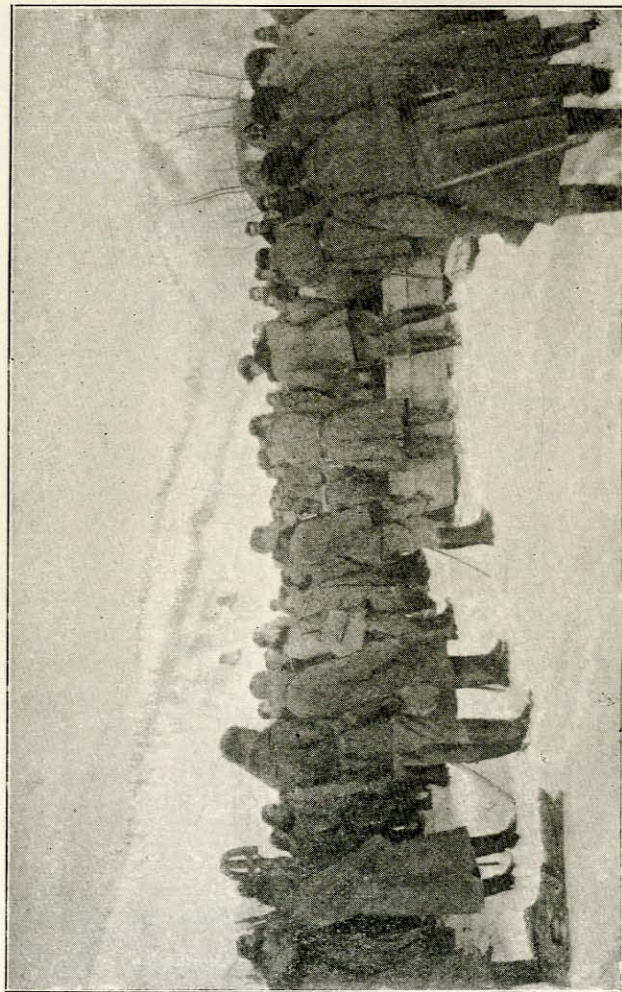
Zstępuję ze wzgórza i zaglądam do poszczególnych domostw. Oto dwie izby, których sufity popękane i postrzępione. Tędy oto wpadł pocisk armatni i rozprysł się po domostwie. Pełno rumowiska, połamanych stolców, łóżek, krzeseł, pełno porozsypywanego po podłodze siana, a dokoła walają się połamane garnki i krąży po tej ruinie jedyny, który nie uciekł, jedyny, który miejscu pozostał wierny — bury kot...

OD ALP RODNIAŃSKICH PO LINIĘ DNIESTRU.

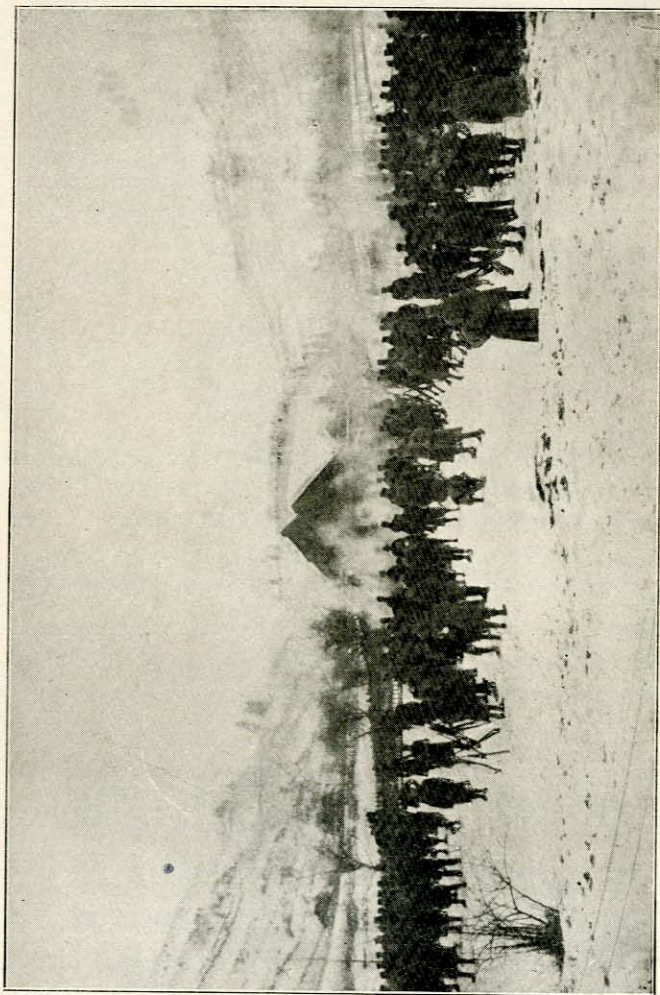
Od Alp rodniańskich po linię Dniestru! Od Kirlibaby po Jezupol! Od szczytów górskich, złomów skalnych, ciemnych borów karpackich wyżów po białą, śniegiem pokrytą, dłużącą się w nieskończoność nizinę...

400 kilometrów marszu, 400 kilom. terenu, zajętego w przeciągu jednego miesiąca, 400 kilom. ofensywy. Czteryście... W lutym, wśród mrozu i zasp śnieżnych, wśród możliwie trudnych warunków, w takim pędzie, iż tren i amunicja za ledwo nadążyć może, w podniesieniu niezwykłym i niemal w gorączce czynu: kraj — Ojczyzna, dom — swoi... Nareszcie! Nareszcie oko pasie się widokiem niziny, ucho słyszy dźwięki mowy swojej...

Zajęcie Kirlibaby stało się punktem wyjścia silnego ruchu ofensywnego. Bezpośrednio po wkroczeniu naszych grup legionowych do Kirlibaby, ruszyły Legiony naprzód. I dotąd nie mija dzień, aby poważna część terenu nie została odebrana



Pogrzeb kap. Strzeleckiego w Kirlibabie.



Biwak w Alpach rodniańskich.

nieprzyjacielowi, który — jak się z autentycznych, w ręce nasze wpadłych dokumentów dowiadujemy — czując silnego wroga, zwraca się do głównej komendy operującej na tym terenie armii rosyjskiej z prośbą o posiłki.

W ostatnim dniu stycznia ruszają nasze oddziały na zajęcie Briazy, pierwszego lutego atakują pozycje nieprzyjacielskie w okolicy Luciny i przyprowadzają 45 jeńców, zabranych w leśniczówce jako placówka rosyjska.

Drugiego lutego zajmuje grupa Januszajtisa Briazę, przyczem na podniesienie zasługuje bravurowy czyn patrolu 2-go naszego szwadronu kawaleryi w sile 6 ludzi pod komendą kaprała Dobrzańskiego, który wysłany na wywiady do Briazy wytrzymuje przez 4 godziny ogień sotni kozaków, aż do nadejścia naszej piechoty.

Tego samego dnia oddziały nasze ruszają pod Moldawę i biorą do niewoli całą kompanię 13-tą 284-go pułku piechoty rosyjskiej w sile 130 ludzi, w tem 3 oficerów. Czwartego lutego zajmują Legiony Moldawę i biorą 82 jeńców. Poczyna się na szeroka skalę rozwinięta ofenzywa w kierunku Fundul Moldawi i Kimpolungu. Szóstego lutego wczesnym rankiem nadchodzi meldunek: Kimpolung wzięty!

Oto dzieje kilku dni, telegraficznym stylem zarejestrowane. Ile w nich treści, ile bravury i dzielności naszego Legionisty!

Weźmy dla przykładu, co jedna tylko grupa nasza, batalion pod dzielnym kierownictwem kapitana Zaleskiego, w ciągu kilku dni zdołała zdziałać:

13-ta kompania nasza pod komendą porucznika Rutkowskiego usadawia się w miejscowości Calinestie i stąd śmiałymi napadami nocnymi wciąż niepokoi nieprzyjaciela. Pierwszy taki atak wykonał oddział, składający się z 28 legionistów pod dowództwem sierżanta Lejczaka dnia 29 stycznia o godzinie 3 rano. Napad ten, bardzo zręcznie uplanowany, udał się w zupełności, gdyż po stronie rosyjskiej padło 48, zaś rannych było niezmiernie wiele.

Nadzwyczajną brawurą odznaczał się atak nocny, przedsięwzięty 31. stycznia przez 14-tą naszą kompanię. Uderzywszy niespodzianie na kozaków, zakwaterowanych we wschodniej stronie Fundul Moldawi, położyła trupem 9 kozaków, a raniła około 50-ciu. W powrotnej drodze, widząc patrol kozacki, zdążający z Briazy, ukryli się Legioniści w lesie, skąd przypuściwszy kozaków na odległość 500 kroków, przywitali ich ogniem karabinowym, zabili czterech i zmusili resztę do panicznej ucieczki, przyczem cała kompania 14-ta żadnych nie poniosła strat... 15-ta kompania 31. stycznia wysuwa się śmiałym marszem na Alunul i napadłszy znajdujących się tamże w blokhausie Mo-

skali, zmusza ich do odwrotu, pali blokhaus i niszczy rosyjski przewód telefoniczny. 2-go lutego patrol nasz pod komendą chor. Bartaka podsuwa się pod placówkę rosyjską, znajdującą się w dolinie Valeputna i otoczywszy ją, bierze — sam nie oddawszy strzału — w niewolę wszystkich, na placówce znajdujących się Moskali.

Wśród takich okoliczności nic dziwnego, iż nieprzyjaciel ustawicznie nękany przez nasze oddziały, cofa się i pozostawia nam coraz więcej terenu.

Odtąd szły nasze wojska przez Bukowinę bez większych trudności. Marsz ten okazał w całej pełni dopiero, jak ważnem i walnem było zwycięstwo pod Kirlibabą. Pierzchnął nieprzyjaciel i gnał tak prędko, iż trudno go było domacać się, trudno dopaść. Szły bataliony nasze przez dziesiątki kilometrów, przeszły Bukowinę wzdłuż, od południowego jej cypla po północną granicę. Tu i ówdzie natknięcie się na jakąś straż tylną rosyjską, gdzieniegdzie dopadnięcie ugrzęzłego w zaspach trenu rosyjskiego, częstokroć branie jeńca, zagartywanie łazików rosyjskich, odbiegłych od czmychających oddziałów, włóczących się po drożynach lub przykuęniętych po chałupach.

Zresztą: forsowny, trudny, a jednak tak miły, tak ochotnie wykonywany marsz naprzód. Bo legionista żyje duchem ofenzywy. Tkwiąc na miej-

scu, w pozycji defenzywnej, traci humor, gorzknieje, marudzi. Dopiero, gdy mu nad uchem przeleci fascynujące go słowo: „naprzód!” — wtedy cały człek się przeobraża, rzekłbyś, że mu się noga uskrzydla, tryska zeń życie, animusz, ciało nabiera sił i nie bacząc na trud, chłód, a czasem i głód, pędzi naprzód, gna w pobliże wroga, spieszy do tej muzyki frontu, do huku armatniego, grzechoty karabinu.

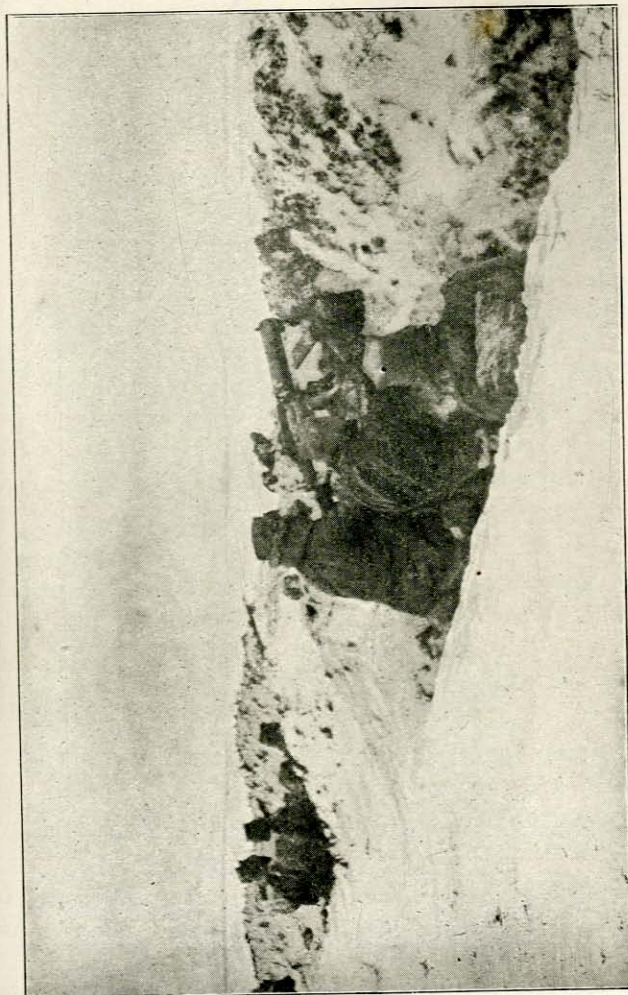
Legioniści zajęli 15-go lutego Stanowce na Bukowinie. Rozkaz: natychmiast pójść naprzód, w ślad za zmykającymi za Prut Moskalami.

18-go lutego popołudniu wkracza do Śniatyna trzeci batalion drugiego pułku legionowego, pod dzielnym kapitanem Launhardtem.

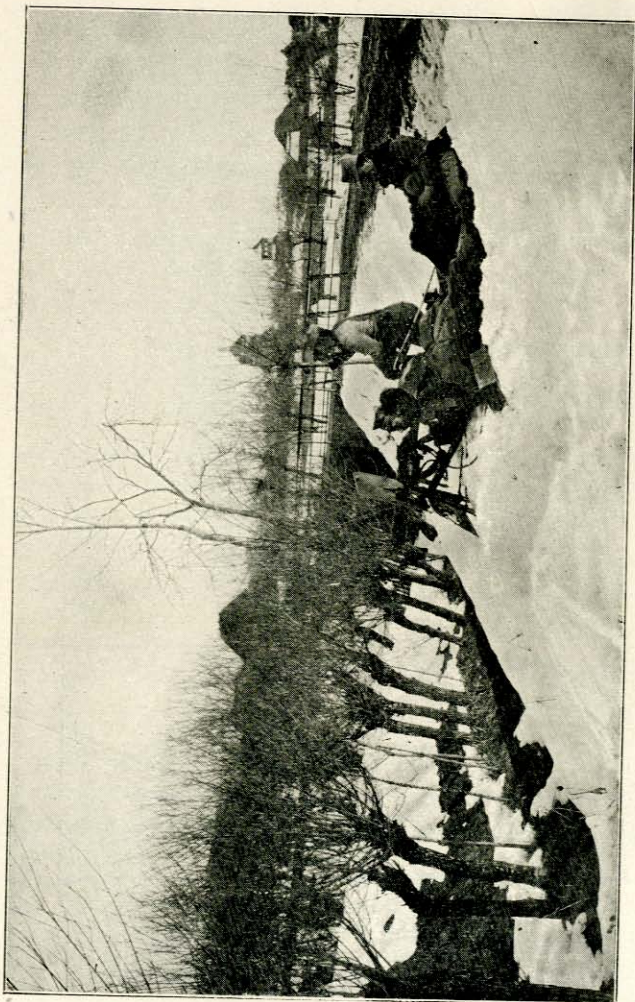
Z przeprawą przez Prut pewne trudności. Treny zawracają, bo przejazd niemożliwy; trzeba im nałożyć drogi i jechać mostem, nadgryzionym przez Moskali. Piechury przeprawiają się do późna trawą i czółnem, które holowali nasi i pionierzy austriaccy. Wiara drepta, bo mroziak szczypie, ciągnie linię — wreszcie wybuchają po niebo ozłoczone prześliczną zorzą zachodnią pieśni i żarty, które nakoniec przerywa unisonowy chorał... a po nim okrzyk kapitana:

— Niech żyje Polska!

— Niech żyje!! — zahuczało w odpowiedzi za



Pozycje na linii Dniestru.



Karabin maszynowy w Jezierzanach.

Prut ku galicyjskiej ziemi, na którą wstępowaliśmy pełni dziarskiej otuchy.

Zachód słońca seledynowy i płomienisty — wir i szum żwawego Czeremoszu i Prutu, które się łączą właśnie w miejscu naszej przeprawy i te pieśni nasze żołnierskie działały na nas tak porzeczająco, że szybkim marszem dotarliśmy o 10-tej wieczorem do Śniatyna.

Stąd poszły Legiony dalej. Jedne oddziały przez Stesową, Horodenkę..., drugie przez Kołomyję...

Wśród zasp prowadzi droga ze Śniatyna do Horodenki. Wynoszą sól i chleb, brama tryumfalna, witają... Witają nas usta, szklą się oczy...

Przystanęła kolumna wśród ulicy spokojna, poważna; wyciągają się do niej ręce obdarzające, chcą zabierać do siebie na prywatne kwatery.

Baczność! I ginie ten żywy łańcuch w chwilowych koszarach.

A jutro, ledwie świt, już w czwórkach kompania, bataliony i najpierw śniegami, a później drogą błotnistą, hen przed siebie.

Z boków donosi wiatr odgłos strzałów...

Klasztor Bernardynów w Gwoźdźcu i stacja kolejowa, gdzie mamy wsiąść do pociągu i jechać dalej, by nieprzyjaciela zająć z inej strony, tam, gdzie się on nas najmniej spodziewa. Zajeżdżamy przed klasztor. Przed trzema dniami byli w miasteczku Moskale, rabując jak zawsze... Na progu

wita nas przeor, niedowierzając oczom, że te szare mundury, chluba narodu — jak mówi — do niego w gościnę; słyszał o naszych walkach pod Nardworną, Żabiem; ale skąd nagle z tej strony? — pyta. Tak to już jest, księżo przeorze, różne są otwory w skórze nieprzyjacielskiej...

W ostatnich dniach lutego już Legiony były nad Dniestrem.

Linia, której miały bronić Legiony, wynosiła przeszło sto kilometrów. Wojska nasze ustawiły się w następujący sposób: centrum stanowiły oddziały pozostające pod komendą dowódców batalionów Lorsche i Launhardta, lewe skrzydło zajęła grupa Zaleskiego, prawe grupa Januszajtisa.

Przed nami wojska rosyjskie. O ile dotychczas o oporze rosyjskim mowy nie było i wojska nasze w nieprzerwanym pochodzie przejść mogły setki kilometrów — to teraz na każdym kroku czuć było można, iż gotują się zawzięte boje pozycyjne, że nieprzyjaciel ściąga swe siły, by nasz pochód wstrzymać. Widać to było po terenowych przygotowaniach, po obsadzie okopów, po fortyfikacjach, po ciąglem wreszcie graniu armat.

Szła chwila poważnej rozprawy.

Na lewym skrzydle naszego frontu stała grupa kapitana Zaleskiego. Miała ona za zadanie zaję-

cie odcinka od ujścia rzeki Bystrzycy koło Jezupola do góry Sredni Horb koło Dolhego. Jedną z kompanii pchnął kap. Zaleski na prawe skrzydło swej grupy, drugą wysłał na stronę lewą, w kierunku Jezupola. Sam z resztą swej grupy usadowił się w Hanuszowicach.

Nadszedł dzień 1. marca, gdy około południa dwie sotnie kozaków, wsparte ogniem trzech karabinów maszynowych, natarły na lewe skrzydło grupy Zaleskiego. Moskale ustawili swe karabiny maszynowe na trzech punktach (na moście, koło stajni dworskiej w Jezupolu i przed jedną z chałup) i stąd silnie prażyli naszą kompanię. W mig sunie z rezerw w Hanuszowicach podporucznik Kamiński na ostrzeliwany lewy nasz front ze swą 16 kompanią i wytrzymując nadzwyczaj intensywny ogień, dociera do przysiółka, a następnie do samego Jezupola. Może tego dokonać, bo znakomicie ruchy jego wspiera chorąży Lewicki, który jednym naszym karabinem maszynowym kolejno zmusza do mileżenia wszystkie trzy rosyjskie. Jak nadzwyczajnie Lewicki się spisał i jak celnie strzelał, mieliśmy sposobność potem, po wkroczeniu do miasta stwierdzić. A przede wszystkim: trzy karabiny maszynowe rosyjskie zwały pod wpływem celności naszych strzałów...

Jezupol zajęty! Bezludnie włóczących się po ulicach miasta żołnierzy rosyjskich bądź spędzają nasi legionieści ogniem, bądź biorą w niewolę.

Dowiadujemy się tu też o nieproporcjonalnie wielkich stratach Moskali. Padł podpułkownik rosyjski, rannym jest kapitan rosyjski, każda kompania rosyjska ma przeciętnie po 20 zabitych. Nasi jeńcy, to młodziki, dwudziestoparoletnie chłopcy, ostatnie powołanie. I rzecz dziwna. Znajdujemy u nich same tylko „berdanki“, jednostrzałowe karabiny... Czy też brak Rosyi dla najmłodszych sił broni repetierowej, czy amunicyi dla pięciostrzałowych karabinów?...

Mija noc w ustawicznym pogotowiu, przy rozstawionych placówkach, w bacznej czujności... Każdy czuje, że dzień następny — to wielki znak zapytania, dzień niespodzianek...

Jeszcze w mroki spowita ziemia, gdy z naszej strony poczyna się akcja. Oto z patrolem już o 4 rano wysuwa się chorąży Tadeusz Orczykowski, idzie do flanki do mostu kolejowego i z trzydziestoma ludźmi zajawszy wał linii kolejowej, wali na 50 kroków do okopów rosyjskich! Niestety... Sam dzielny oficerzyk polski pada, ugodzony w głowę... Z miejsca orientuje się sierżant Bębenek w sytuacji; wie, że śmierć komendanta tak ważnego patrolu grozi zmąceniem spokoju i pewnością siebie odważnej trzydziestki; zajmuje w lot pozycję śp. Orczykowskiego i utrzymuje ludzi na wale. I znowu nasz karabin maszynowy chwacko się spisuje. Ustawiony na samym torze, w samej tyralierce patrolu — praży Moskali w okopach...

Wtem jakby lawina się zwałała lub góra się usuwała, jakby wielkolud skądś wypęzł... Zahuczalo przeraźliwie na torze, zakłębiło się... Lomot i loskot! Oto w linię naszą wpada nieprzyjacielski pociąg pancerny, ziejąc szrapnelami i rozsypując wokoło tysiące kul maszynowych karabinów... Pierwszy raz widzą nasi chłopcy takiego potwora. Lecz ani drgną. Ani śladu paniki i rozsyпки. Z najzimniejszą krwią ściągają przede wszystkim z wału nasz karabin maszynowy, pozczem bez strat i w największym porządku wracają z tak pełnego niespodzianek patrolu.

Równocześnie z tą akcją na lewem skrzydle idą dwa nasze bataliony (2. i 3. drugiego pułku wraz z artyleryą i karabinami maszynowymi) drogą, wiodącą do Tłumacza. Czujnie, ostrożnie... Marsz ubezpieczony. Dopiero przeszedłszy Oleszów napotyka ją w Bratyszowie nieprzyjaciela. I już wre zacięty bój. Już w powietrzu pękają szrapnele, świstają kule.

4-ta i 7-ma kompania II-go batalionu otrzymuje rozkaz: zaatakować lewe skrzydło nieprzyjacielskie. Z miejsca chłopcy rozsypują się w tyralierkę i rozwinąwszy silną akcję prą naprzód, na wzgórze wznoszące się nad Nizniowem. A przed nimi wieją kozacy... Dwoma kolumnami posuwając się, zstępują nasze dwie kompanie na drogę, wiodącą do Nizniowa i wkraczają na rynek... Lecz jeszcze

zawczasie na nazwanie miasteczka swoim. Bo oto z ciemności zapadłej tymczasem nocy wysuwa się trójka rosyjskich infanterzystów — dowód, iż nieprzyjaciel planuje powrót, wywiadziawszy się może, i oddział legionowy nie reprezentuje takiej siły, którejby nie można zmódz. Więc podporucznik Jastyr, nie chcąc ryzykować późną nocą niepewnej akcji, wycofuje się za miasteczko i ustawia się na folwarku, tuż za miastem.

Szła godzina za godziną w baczem oczekiwaniu i ostrem pogotowiu. Nagle, w dwie godziny po północy, luna na horyzoncie... Wkrótce znają nasi jej pochodzenie. To Moskale, podpaliwszy most, opuszczają Niżniów.

Był biały dzień, gdy nasi, ubezpieczwszy się wprzód przez patrol (wrócił z 17 jeńcami 45-go pułku piechoty ros.), iż cofnięcie się nieprzyjaciela pod osłoną nocy nie było fikcyjnym manewrem, zasadzką — wkroczyli do miasta.

Przystąpiono więc do zdławienia ognia, szalejącego wciąż jeszcze na moście. Zadanie to miała powierzone 8-ma nasza kompania.

Tej chwili widocznie tylko oczekiwał nieprzyjaciel, bo gdy nasi wsiedli do łódki, by się przeprawić na drugi brzeg rzeki i gdy się zbliżyli do płonących belkowań mostu — huknęły strzały...

Nie traci przytomności umysłu sierżant Rozmus. Siedmiu legionistów ma przy sobie. Natychmiast ustawia, nie bacząc na świstające mu do-

koła uszu strzały, garstkę swą na przestrzeni kilkudziesięciu kroków i każe im walić salwami na przeciwny brzeg. A już z pogotowia naszego spieszy podporucznik Harhart, wycofuje ludzi Rozmusa z przed mostu, ustawia cały oddział w okopach i praży z nich nieprzyjaciela na przeciwnym brzegu. Tak więc zasadzka rosyjska spełzła na niczem...

Do późnego wieczora i przez całą noc wałę armaty rosyjskie w most. Lecz z tego nikt sobie u nas nic nie robi. Walili Moskale w dziury na moście, gdy naszych Harhart sprytnie ustawił na miejscu, skąd skutecznie a bezpiecznie można było ostrzeliwać pozycje nieprzyjacielskie...

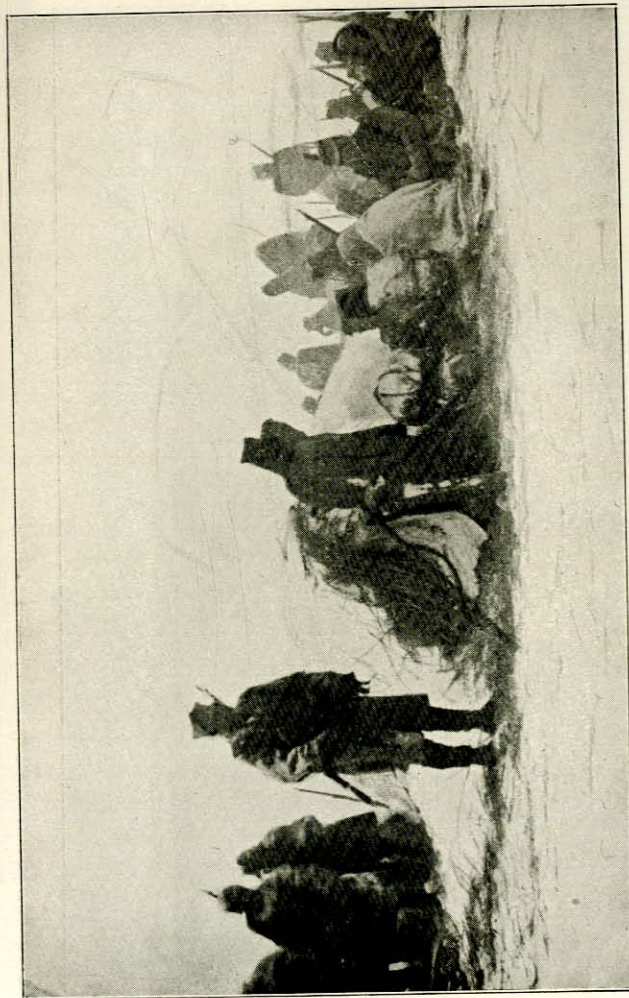
Lecz temsamem prawy brzeg Dniestru nie był jeszcze zupełnie zabezpieczony. Trzeba było mieć w swem ręku i most drugi, kolejowy.

Tuż obok mostu stoi bastyon. Na tym bastyonie ustawił nasz dzielny komendant oddziału karabinów maszynowych, podpor. Siczek, swych ludzi i swą broń. Nagle, pod wieczór, Moskale zostali zasypani gradem kul ze strony, z której się tego figla zaprawdę wcale nie spodziewali... Do wściekłości doprowadzeni, skierowują silny ogień armatni na bastyon i na śmiałków, którzy na taki brawurowy czyn się ważyli. I trzeba przyznać, celnie wymacali naszych... Ryją się tuż pod bastyonem granaty, rozbijają ściany, rozpryskujące się tysiącami kawałkami rozpadniętego muru.

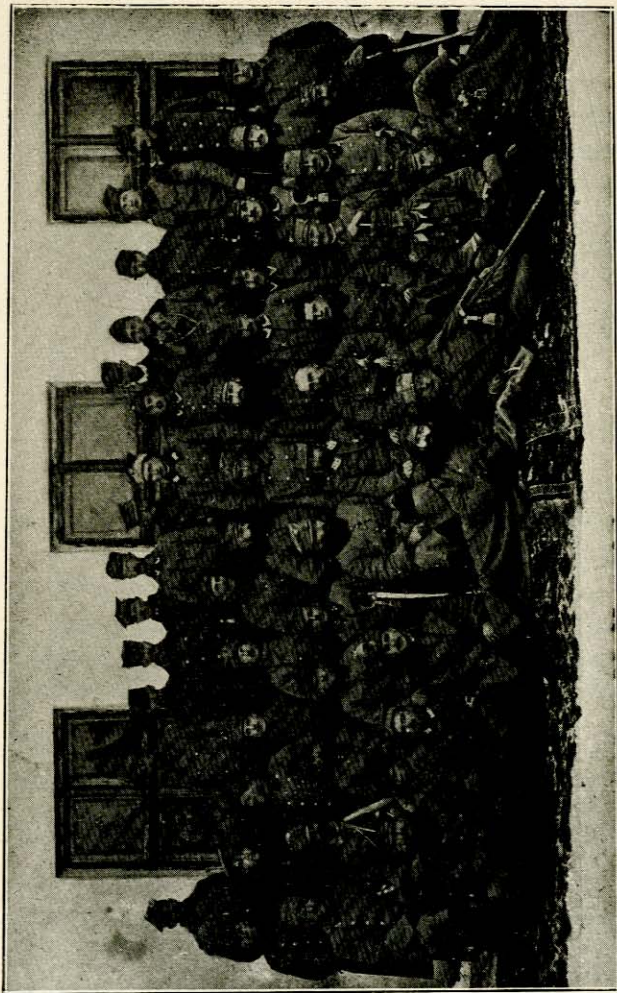
Zda się, że i karabin maszynowy i jego chwacka obsługa przepadła. Karabin zostaje na bastyonie zaś ludzie nasi początkowo skrywszy się za żelazne oparkanie bastyonu, szukają schronienia przed działaniem granatów za ciemnym wałem, łączącym tor kolejowy z gościńcem. Lecz brawura podp. Harharta ratuje i nasz karabin maszynowy, pozostały na bastyonie. Bo oto dzielny nasz oficer, przyczolgawszy się wzdłuż błotnistych brzegów rzeczki, opodal przepływającej i poza linię karabinowego ognia się wysunawszy, spieszy co sił starczy do komendanta grupy, kapitana Lorsche, zyskuje pomoc, wraca z nią przed bastyon, ściąga pod osłoną własnego silnego ognia nasz karabin maszynowy i — na domiar obsadza i utrzymuje ten ważny punkt strategiczny, jakim jest wylot wielkiego mostu.

W pierwszych dniach marca wszystkie nasze bataliony zbierają się w Jezierzanach. Mamy obecnie wspólnymi siłami pięciu batalionów legionowych, naszej artylerii i karabinów maszynowych, uderzyć.

Od wczesnego ranka w Jezierzanach zawzięty bój. Wieś zasypana ogniem nieprzyjacielskim. Mimo to z niewzruszonym spokojem idą w oddziały dyspozycje, zajmują kompanie pozycje. Łudził się nieprzyjaciel, sądząc, że dopiero co skoncentrowane bataliony legionowe zdoła pogrzebać w tej jednej wsi, na którą skierowali iście



W zamieci śnieżnej pod Bortnikami.



Grupa oficerów w Kofomyi.

piekielny ogień. Legiony przetrzymały go przez cały dzień, odgryzając się z imponującą pewnością nieprzyjacielowi. Ba, co więcej. Pod wieczór śmiałymi ruchami podsunęły się pod Tłumacz i jeszcze tej samej nocy miasto było w naszym ręku.

Był to brawurowy czyn. Prawda. Lecz nieubłagana konsekwencya strategicznych pociągnięć nie znosi w nowoczesnej wojnie odchyień od poruszeń z góry dla wielkich frontów wytyczonych. Byliśmy pod Tłumaczem zanadto wysunięci. Whiliśmy klin w linię frontu nieprzyjacielskiego. Ślicznie. Ale powyginaną linią własnego frontu na dłuższą metę stać niepodobna. Tembardziej, iż nieprzyjaciel wprost parł, z mocą naciskał na wysunięty na przedzie nasz oddział, będący w Tłumaczu. Więc trzeba było własny front wyprostować, ustawić całą grupę Legionów w tej linii, w jakiej znajdowały się sąsiadujące z nami wojska. Majstersztyku wprost dokonał junacki nasz kapitan Launhardt, stojąc ze swym batalionem tak długo twardo przy Tłumaczu i powstrzymując napór wroga, aż wszystkie nasze oddziały, cała nasza artylerya i karabiny maszynowe zdołały zająć pozycje między Bortnikami a Korolówką na Lysej Górze.

Mroźny a pogodny wstawał dzień marcowy, gdy z pułkownikiem Zielińskim i kapitanem Zagórskim kroczyłem przez wieś Bortniki na Łysą Górę.

Już o 5-tej rano bataliony nasze miały zająć okopy, nad których wykończeniem przez całą noc gorączkowo pracowano.

Szarżało. Na białym śniegu rysowały się kontury opłotków. Chrząścił śnieg pod nogami naszych legionistów, w milczeniu kroczących z kwarter przez wieś. Wiatr zimny świszczął dokoła. Mijamy folwark i zbliżamy się do obszernego płaskowyzu, do odcinka, z którego miała się począć nasza akcja. Po drodze suną konie juczne naszych oddziałów maszynowych, znoszą nasi chłopcy wiązki słomy, którą ogrzewają ciało w okopach, biegną legioniści z rozkazami i dyspozycjami.

Zwolna robi się jasno, mgły poranne opadają, bezkresne tafle śniegowe opalizują. Po płaszczynach śnieżnych łagodnego stoku Łysej Góry suną jak rzędy mrówek nasze kompanie, by się u wyżu rozejść, rozszerzyć w linię tyralierską i zanurzyć w wydrążeniach okopów.

Na gościńcu tymczasem zbierają się komendanci oddziałów dokoła sztabu. Frontem będzie dziś dowodził nieustraszony major Januszajtis, rezerwami na folwarku kapitan Launhardt. Jędrnemi słowy, dobitnie każde akcentując, wyjaśnia plan dnia pułkownik Zieliński. Na prawej flance naszej stanie ze swą grupą porucznik Kossakowski, na lewej grupa porucznika Baczyńskiego. Karabiny maszynowe ustawi wyglądający w swem futrze

na drapieżnego wilka, a przytem dobroduszny i pogodny podpor. Siczek w ten sposób, iżby jeden ogień mógł skierowywać na gościniec, wiodący do Korolówki, a drugi na wprost naszego centrum do wsi Gruszki. Nasze armatki staną częścią za cmentarzem miejscowym, częścią na środku płaszczyny Łysej Góry i wspomagać będą ogień karabinowy batalionu Januszajtisa.

Dyspozycje wydane. Komendanci do swych oddziałów, a my w okopy i obserwatorium artylerzyckie.

Mijają godziny. Nieprzyjaciel milczy. Nasza artylerya wzywa go do boju. Napróżno. Od strony wroga milczenie... Januszajtis oburzony. Tyle zachodu — a tamci nic? Nie wyścibią nosa z za pozycyi? A może myślicie, Mochy, iż z nastaniem wieczoru uda wam się podejść nas, zmącić zasłużony sen na kwaterze we wsi po 12-godzinnem wylegiwaniu się w okopach, po przemarnięciu całodniowem w szczerem polu, przy przeszło dziesięciu stopniach mrozu? A — niedoczekanie wasze!

I dokonuje się jeden z tych czynów, po których poznać Januszajtisa. Ledwo w podwieczorz ciemność się poczyna kłaść na Łysą Górę, bierze Januszajtis jedną z naszych armatek szybkostrzelnych i wsadza ją niemal pod nos Moskałom. Przekracza nasze pierwsze placówki, zakrada się pod samą wieś Korolówkę i jak nie zacznie prac,

smażyć ogniem! Jak w ulu, do którego dostała się łapa niedźwiedzia, kotłuje we wsi. W panicznym bezładzie wieją Moskale. Poczem Januszajtis z największym spokojem ściąga swych ludzi z okopów i pewien, że mu tej nocy, po takim nastraszeniu wroga, nic spokoju nie zmąci, udaje się na spoczynek...

Nazajutrz, ledwo świt, jesteśmy znowu na pozycjach. Czy też Moskale zechcą się zrewanżować za wczorajszy wieczorny atak Januszajtisa? Czy przeboleli porażkę, straty, czy też zachęteni zostali do odwetu? Idę na kraj Lysej Góry, w okopy. W jednym z nich nasz obserwator artylerzycki. Patrę przez dwunastokrotne szkła Zeissa. Hen na gościńcu, za wsią Gruszką, ciągnie się jak wąż tren rosyjski, a tam na szerokich płaszczyznach białego śniegu czernieją sylwety żołnierza rosyjskiego, a tu za stogiem siana stoi kilka koni kozackich... Do południa względny spokój. Nie atakują. Tylko nasze armaty raz po raz dają znać, że czuwamy...

Okolo trzeciej popołudniu sytuacja staje się naprężoną. Nasze patrole wywiadziały się, że nieprzyjaciel gotuje się do bardzo poważnej akcji. W mig nasz odcinek zmienia fizyognomię. Staje się cisza... Wszystko pochowane, wozy i ruchome kuchnie zepchnięte za stok, do wsi, wszystko, co należy do linii bojowej, przykucnęło w okopach. Jest to ta cisza znamienna, która aż dzwoni

w uszach tuż przed rozpoczęciem bitwy. Jest w środowisku i nastrój i namaszczenie i skupienie. Pochyleni, iżby ich szkła nieprzyjacielskie nie dojrzały, suną od pozycyi do pozycyi komendanci kompanijni. Januszajtis stoi w jednym z okopów i telefonicznie wydaje ostatnie rozkazy. Jestem z nim w wykopanym dole i nie mogę się dość napatrzeć tej postaci. Jaki w niej w tej chwili spokój, jakie baczenie i na całokształt odcinka i na każdy z szczegółów. Młoda jego twarz nie wyraża żadnej gry myśli; wszystko z tego mózgu idzie zdecydowane, gotowe, pewne.

I już grają armaty, jak grzmot. I już trzeszczą nasze karabiny maszynowe. I już biją karabiny z naszych okopów.

Patrę przez lornetę polową. U wylotu drogi za Gruszką stoi sześciu kozaków. Widocznie patrol obserwujący. Dojrzało ich oko naszego artylerzysty. Słyszę: „Dystans... działo... ogień...!” Huknęło. Nad działem przysła iskierka. Po chwili na horyzoncie uniosła się chmurka dymu białego i różowego. Kozacy stoją wciąż na swych miejscach. Szrapnel rozprysł się daleko za nimi. Przeniosło za wysoko. Słyszę znowu telefoniczną komendę naszego artylerzysty. Znowu grzmot i błysk i chmurka dymu. Tym razem tuż nad szóstką kozaków. Patrę przez szkło. Wieją! Koniki pędzą jak strzała. Pocisk rozprysł się wprost nad nimi. Lecz ucieka tylko czterech... Piąty leży

wraz z koniem na śniegu, a szósty, kulejąc, drepta powoli, trzymając konia za uzdę...

Tymczasem na lewym skrzydle, z poza lasu, otaczającego Bortniki wysuwa się nasza kolumna z okopów do ataku. Poruszają się ciemne punkciki, osłonięte ogniem baterji, ustawionej za cmentarzem. Po chwili głośna symfonia współdziałających ze sobą wszelkich rodzaj broni. Trzask i łomot, syk i huk. To nasi wkraczają do Korolówki.

Ciemność idzie. Mgły opadają na Łysą Górę. Coraz bardziej przejmujące zimno. Widnokrąg i śniegi nizinne stapiają się w jedną szarą, bezkresną płaszczyznę. Wtem na dalekim planie wypelza złota, coraz bardziej czerwieniejąca smuga. Gdzieś płonie wieś... Skądś wiatr przynosi głuche odgłosy armatnich strzałów...

WYPOCZYNEK W KOŁOMYI.

Poszło nas z końcem września ośm batalionów, dwa szwadrony, trzy baterje. Wszystko na stopie wojennej. Była nas moc. Było z dziesięć tysięcy.

Przez sześć miesięcy wciąż w boju. Przeszło 70 dni frontowej walki, około 60 potyczek i bitew, na pięciu terenach operacyjnych. Pod Marmoros i pod Nadwórną, pod Ökörmező i pod Żabiem, pod Kirlibabą i na linii Dniestru. Przemierzaliśmy około 2.000 kilometrów w marszu. Szliśmy wciąż po ciężkim, stromym terenie Karpat. Przez całą zimę, poprzez przeszło 25 stopniowe mrozy.

Cóż dziwnego, że szeregi ucierpiałły, ucierpieć musiały. Kula i szrapnel, karabin maszynowy i granat — powodowały straty. Choroba i wycieńczenie — wyszczerbiały oddziały. Sześciomiesięczne nieprzerwane znoje działać musiały ujemnie na młody, fizycznie częstokroć nierozwinięty organizm.

Topnieliśmy. Bo legionista się nie szanuje, bo ino huknąć mu nad głową: naprzód! ofenzywa! — a ruszy, choćby ostatnich sił dobywając.

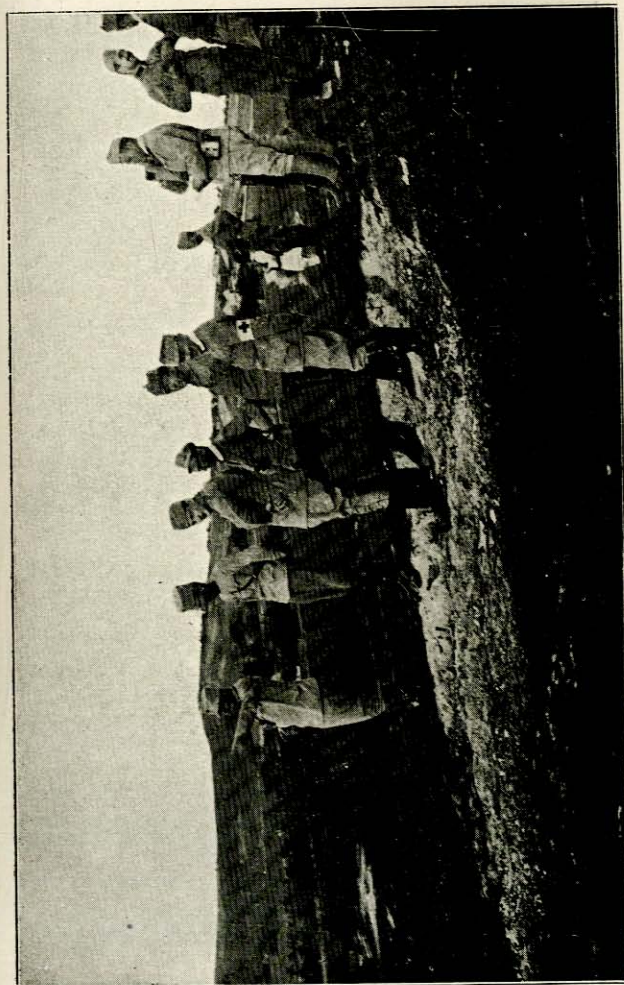
A przytem, wciąż na przedzie, zawsze pierwszy do ataku. Więc straty w zabitych i rannych wielkie.

W ostatnich czasach byliśmy garścią. I to garścią wynędzniałych, chorych. Lecz garścią — bohaterów. Człowiek, co przetrzymał tych sześć miesięcy, ukrzepion jak młody dębczak. Lecz — mało ich mieliśmy przy sobie. Bardzo mało...

Cóż dziwnego? Ruchy nasze były takie szybkie. Np. w ciągu miesiąca lutego przemaszerowały legiony przeszło czterysta kilometrów, od Kirlibaby po dolinę Dniestru, tak, że o uzupełnieniach ani mowy być nie mogło. Tam, gdzie rano szedłszy z kwatery szło się naprzód, aby wieczorem złożyć umęczone ciało na innej lub zgoła na szczerem polu, lecz kilkanaście lub nawet kilkadziesiąt kilometrów dalej — tam o organizacyi uzupełnień mowy być nie mogło. Ba, co więcej szybkość ruchów była tak wielką, iż nawet z tyłów zdążający na front wyzdrowieńcy nie mogli oddziałów swych dogonić. Linia etapowa stale się tak dłużyła i zmieniała, iż większość tych wiernych, którzy nabrawszy sił w tyłach palili się do służby frontowej nie mogło znaleźć oddziałów, jeno ich ślady...

Więc wcale nie było wesoło... Przy sobie miało się garść najwytrzymalszych, lecz do niemożliwości wyczerpanych...

Wreszcie uznało kierownictwo armii z żalem,



Komenda II. Brygady.



Szef sztabu II Brygady kap. Towarek.

że odpoczynek Legionów jest konieczny. Otrzymaliśmy na krótki czas wypoczynek i postój.

I cóż widzimy? Legiony rosną! Z każdym dniem. W szczyby, w luki sypływają uzupełnienia, oddziały wzbierają w siłę prezencyjną, w stan bojowy! Wszyscy ci ozdrowieńcy i maruderzy, wszyscy ci — „łazikami“ zwie ich „vox legionistica“ — którzy kędyś, gdzieś odłączyli się, wszyscy, którzy leczli się z ran i chorób, i ci, którzy bezskutecznie pędzili za pędzącymi naprzód batalionami legionowymi — docierają do miejsca postoju, stapiają się w jedno ze swymi oddziałami, wzmacniają nasz stan bojowy.

Codzień powtarza się taka scena: Do koszar podchodzi chłopczyna, a oczy mu się śmieją.

— Jaśku! Michale! To ty! Więc cię nie zabili! Żyjesz? I padają sobie w ramiona i lzy zwilżają im policzki i taka „zguba“ idzie z kolei w ramiona wszystkich w oddziale...

Bo i to jest znamienne: na przekór „listom strat“, kolportowanym przez wszechwiedków po kawiarniach — żyjemy. Każdy z nas był już parękroć uśmiercon, parękroć ranny, powieszony lub wzięty do niewoli. Ba, przecież „zupełnie seryo“ sztab nasz w październiku miał być częścią powieszony, częścią zabity i niejedna wierząca takim bajom dusza żegnała się, zoczywszy którego z nas.

Wracają do nas i rumiane policzki, wywczaso-

wane i wypoczęte postacie — i blade twarze wymęczone tułaczką, mordęgą, ludzie bez butów i z pustym żołądkiem — i chłopcy bez broni, którą im po szpitalach poodbierano.

Ale wracają!

Skupiają się znowu i znowu zaczynamy nabierać tej formy, jaką mieliśmy w początkach wojny.

Lecz formy tylko! Bo istota, ach jakże się zmieniła! Jak innym jest ten żołnierz dziś, po półrocznym zmaganiu się, jak nieskończenie zyskał na wartości. To już nie młodzian pełen zapału, a mało doświadczony, piastujący w duszy sen o szpadzie, ale nie mający własnych kryteriów bitności i odwagi — to weteran, co już zakosztował i zapachu krwi i przebił się przez piekło skombinowanego ognia i wdarł się z pieśnią polską na ustach na okopy nieprzyjacielskie i patrolował w gąszczach lasów i w opłotkach chałup, obsadzonych przez wroga. Stare wilki, to obecnie nasze żołnierzyki.

I oto jest żywotność Legionów. To ten tajemniczy kit, ta mistyczna spójnia, która nas łączy. Raz ślubowawszy idei legionowej — ślubowałeś na wieki.

Widzieliśmy, jak codzień wracają chłopcy i z kraju i z Węgier i z Bukowiny i z lazaretów i ze szpitali. Ledwo się mogą przywlec. Ale są.

I to nas napawa szczęściem. To — mimo wszystko — przepaja nadzieją w przyszłość. Bo

Legiony, to jak ta starożytna hydra, u której w miejsce jednej uciętej głowy dwie wyrastały. Legiony — to idea łącząca taką spójnią ludzi, którzy się jej raz zaprzysięgli, iż splot ten jest już nierozdzielny.

Żywotność Legionów przejawiała się na polach krwawych starć; przejawia się z radującą duszą mocą tu, gdzie odpoczywając rośniemy codzień w nowe siły!

Zbliżała się połowa kwietnia i szło wiosenne tchnienie po ziemi, gdy ruszyliśmy się z Kolumny w pole.

Komenda Legionów, wszystkie bataliony uzupełniające i kadry przeniesiono do Królestwa — formacje bojowe na front! Na kresy. Na granice państwa. Na Dzikie Pola. Na dalszy ciężki znój...

TRANSLOKACYA.

Gdzieś pod Czerniowcami, na małej stacyjce, wysiadamy. Ma się pod koniec chmurnego, ponurego, dżdżystego dnia wiosennego. Prostujemy członki zgnuśniałe podróża i — na koń! Mamy tej nocy jeszcze dotrzeć na front, zakwaterować się w wioszczynie, tuż na granicy państwa, a już owianej czarem, romantyką Bessarabii.

Jedziemy szosą, wiodącą do mekki chasydizmu, Sadagóry.

Zdala migotają na wzgórzu światła Czerniowiec. Stolica Bukowiny wygląda z oddali jak świetlny transparent na wierzchu długiej, ciemnej budowli. Powoli przygasają migotliwe światła i jeno długie, blade smugi na czarnem poszyciu wzgórza znaczą się upiornie. Potem i one przepadają w ciemności.

Cwałujemy wzdłuż szerokiej szosy, mając po obu stronach ciężko oddechającą ziemię... Na przedwieśniu ziemia oddecha, jak człek, co się zbudził z długiego snu i zrzucił z siebie ciężkie przykrycie. Leciuchne obłoczki pary snują się nad

nią i nad zielonem szkliwem wód osiadłych po polach po roztopach zimowych. Jakiś zgnuśniały wiew idzie po powietrzu, jakiś rzewny szept budzącej się do życia wiosny, jakieś żałośliwe tchnienie jak beznadziejny jęk za minionym spo-kojem pod białym płaszczem zimy...

Wjeżdżamy w las. Mokry on i lśni od wód parujących na podściółce mchów. Wykroty pniów, powyrywanych z ziemi wichurami jesiennymi, sterczą, ukazując powyginane widłaki korzeni. W poddrzewnych mrokach stoi woda i wydziela dokola ostre wzywy.

Czarne osłony chmur wiszą na firmamencie. Po niejakiem czasie odbija się blask księżycy wschodzącego. Krańce obłoków rysują się srebrną obwódka, która nabiera intenzywności koloru. Sina luna oświetla brunatną ziemię, lasy i nadaje im wygląd pełen tajemnic tej wiosennej nocy. Drżą pręgi światła księżycowego na łonie ziemi; na taflach wód migocą cienie suchych gałęzi drzew.

Zbliżamy się do Sadagóry. Straszny widok ściele się tu w poświacie księżycy. Upiornie wyglądają puste oczodoły domów, w popękanych od uderzeń szrapneli ścianach; popalone dachy, zwęglone belkowania. Jest w tem, dawniej tak rojnym miasteczku jakaś cisza przerażenia, lęku, rozpacz... Gdzieś tam tylko stoi wartownik z najezonym bagnetem, lub migoce światełko na jakiejś

kwaterze. Na placach stoją wozy trenu, pokryte płachtami; na krańcach dróg srebrzą się druty kolczaste; na peryferyach czernieją się mrowiska okopów.

Widziałem pobojowiska, widziałem krwawe jeziora na białym śniegu, widziałem rozprysnięte mózgi, walające się po grząskim błocie, widziałem masowe doły-cmentarzyska, pełne poskładanych rzędem trupów — ale podobnie przykrego widoku jak taka miescina, bezradnie tkwiąca w swej samotności, opuszczeniu, nagości, nie widziałem. Taką była Kirlibaba, taką Nadwórna, taką Sadagóra.

Mijamy miasteczko i zanurzamy się w ciemność. Jedziemy na północny wschód, w kraj pagórkowaty, w okolicę pełną uroku. Zbliżamy się do szlaku, którym ciągnęli bohaterzy sienkiewiczowscy na wschód, do traktu, którym Basia jechała do swego „małego żołnierzyka“, do jarów i wertepów, pod które podsuwali się zagończycy.

Tu, gdzie ongi poczynał się front bojowy Polski, jako reprezentantki kultury zachodniej, ze wschodem, z wszelkiego rodzaju bizantyzmem, — tu dziś kończy się tego gigantycznego frontu bojowego, dłużącego się od jezior mazurskich po Dniestr. I znowu tak chciał los, że polscy żołnierzykowie zamykają tu szlak boju, który ongi otwierali, że znowu stają u wyłomu, na granicy między wschodem a zachodem, między zaprzań-

stwem kulturalnym a swobodnym rozwojem człowieka.

Kilkanaście kilometrów jazdy mamy przebyć tej nocy. Ciepły deszcz wiosenny mży i szemrze woda cedząca się z przepokopów. Dokoła nieuchwytnie kontury pól i borów, opłotków i stodół. Jak gdyby widziadła senne, ledwo wyczuwalne poza oponą mgieł, a tam, hen daleko, ponad widłami rzeczniemi, nad zakrętami Dniestru — przyczajony w okopach wróg. Szliśmy ku niemu przez całą zimę, szliśmy wśród zamieci i trzaskającego mrozu, szliśmy poprzez szczyty Karpat — teraz wiosną idziemy nań wprost. Już nie odbierać, jeno brać.

Dziwnie kojarzą się myśli podczas tej jazdy na krańcowy cypel wschodniego naszego frontu, w tę noc wiosenną, gdy ziemia wzbiera rodnią siłą, a człek gotuje się do ostatnich zmagania.

I jakby wyczuwając, że to przecież wiosna idzie, pora miłości, okres dyonizyjskiego pędu w młodem ciele, intonują nasi jeźdźcy na nutę naszej ukochanej pieśni „Jak to na wojence ładnie“ wcale nie wojenny, ale za to wielce młodzieńczy, niejedną przez wojnę zdławioną tęsknotę zdradzający wariant:

„Puk, puk, puk, puk, panienczko,
otwórz, otwórz, okienczko“.

Wtórują śpiewowi szumy wiatru i mlaskanie kopyt końskich w grząskich błotniskach.

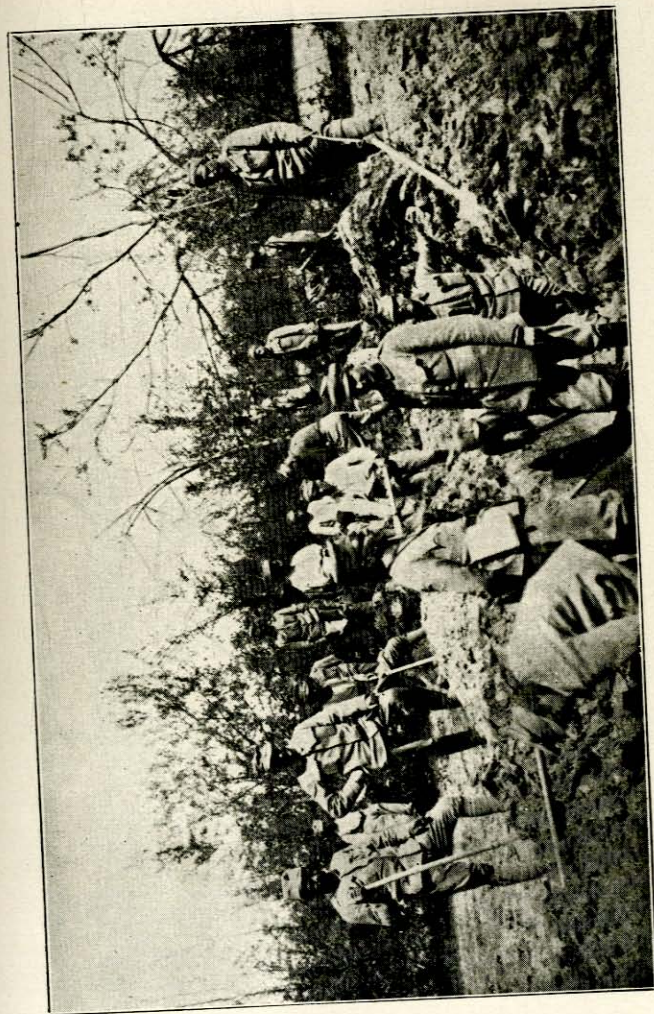
„Panienczka otworzyła
i ułana przytulifa“.

Jest jakiś dziwny związek między figlarno-pieszczolliwą strofą żołnierskiej piosnki, a tą ciemną nocą i tą garstką szarych postaci, idących w nieznaną dal.

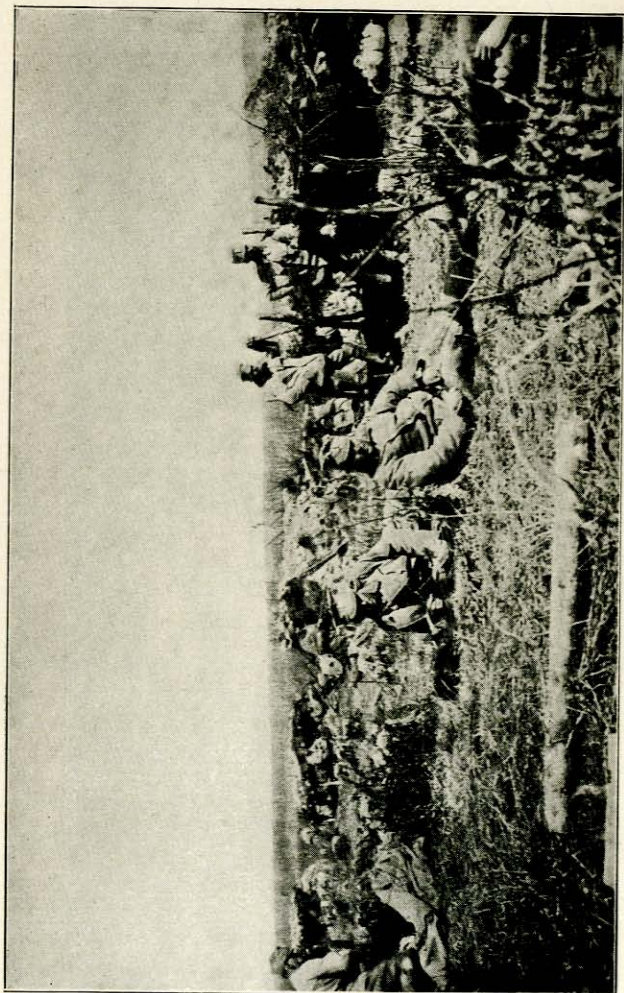
„A za jakie trzy kwartały
urodził się ułan mały“.

Wjeżdżamy w aleę topolową. Za nią majaczą kontury dworu. Z głębin mroku wyrywają się czarne plamy chałup.

Jesteśmy na razie u celu. Rozkubaczyć konie. W mieszkaniu popa prawosławnego, co to dra-pnął przed naszą wizytą, zasypiamy twardym snem. Ledwo świt budzi nas muzyka armat.



Kopanie rowów strzeleckich na granicy Bukowiny i Bessarabii.



Życie w okopach na kordonie Kozłorożnyj.

DZIEŃ WIOSENNY.

Wstał dzień wiosenny. Z oparzelisk poczęły mgły unosić się wzwyż. Ponad mokradła chybotać jęły ptaki wodne. Od wsi dolatuje rzenie koni i tluk cepów po stodołach... Gałęzie drzew, powyginane, zwieszane ciężarem śniegów ku ziemi, drżą w przeczuciu rodnej mocy, od której wkrótce zazielenieją. Na wylotach drzew szpilkowych jaśnieją już zielonkowate punkciki najmłodszych zarodków iglic. Po badyłach i zeschniętych strzępach kukurudzianych łodyg świszczę wiatr. Na dzikich kasztanach pęcznieją lepkie gały. Z krańców nieba żeglują ranne obłoczki i osiadają między szczytami topoli; muskają młode brzoźki, których białopienne gałązki okryte już drobnymi listeczkami. Na ugorach wykwita już i odbija od brunatnego tła młoda zieleń.

W ten przeczysty ranek wiosenny niesie mnie mój kozaczek ku frontowi. Parska pocziwe konisko i prycha z radości i upojenia zapachami, dolatującymi z pól.

Wreszcie linia. Sześć wałów ochronnych z tej

strony Dniestru i tyleż z tamtej. Drut kolczasty i przeszkody ziemne, zasieki i wilcze doły. A środkiem płynie i wije się rzeka. Tuż nad nią nasze placówki poukrywane w jarach. To samo z drugiej strony. Wyściubisz nosa — puk! Więc skulone za wysokimi brzegami stoją po obu stronach oddziały i dają baczenie: niby żelazne obręcze, obejmujące nurty wody.

Na folwarku między stertami a zdemontowaną gorzelnią, spotykam biwakującą naszą artylerję. Stoją rzędem dwie nasze baterie na ugorze, a w budynkach gospodarskich wre życie naszych artylerzystów. Tu kowal baterii kuje konie, tu majstruje ktoś przy uprzęży, tu bucha z kotła jądło, a tam przy wozach trenowych ogólny „fasunek“. W „kancelaryi“ gorzelnika kwaterują nasi oficerowie. Jest tu nasz zuch z pod Kirlibaby Kasper Wojnar o zmierzwionej brodzie i wiecznie rozbrykanych wąsikach, człowiek, który równie powoli mówi, jak szybko działa, równie dobrodusznie wygląda, jak bezwzględnie komenderuje. Jest elegancki, a tryskający siłą i stanowczością Gosiewski, jest jowialny, grubawy a junacki Łapicki, jest młody Rutowski, który po ojcu odziedziczył swadę i odwagę, jest młody Englisz, Mańkowski, Procner, jest dr Kollątaj, „lekarz armatni“, chłop o sumiastym wąsie i gołębiem sercu, ulubieniec każdego artylerzysty.

Skądś gdzieś znalazła się butelczyna piwa, skądś

młodziutki chorąży otrzymał czekoladowe pomadki (ach, ta — kuzynka!) — i feta gotowa. Rozwiązują się języki i płynie opowiadanie o przeszłych bojach, obecnych chwilach, wypadkach i czynach.

— Zajmujemy pozycje w Zagróbeli koło Otyunii — mówi jeden. Ostrzelaliśmy się na różne punkty, a zwłaszcza na jeden bardzo ważny punkt: na budkę strażniczą toru kolejowego. Tu mianowicie dojeżdżał rosyjski pociąg pancerny. Mieliśmy chrap nań. Trzeba go było sprzątnąć. Zjawia się. Przyjmujemy go gwałtownym ogniem. Nie możemy oczywiście wprost widzieć skuteczności naszych pocisków, ale nasz obserwator w Krasiówce donosi nam: po kanonadzie okrył się pociąg pancerny dymem i parą i z 4 wozów po jakim czasie wycofały się do lasu tylko 2 wozy... Dwa zostały na miejscu pogruchotane.

W Markowcach — opowiada drugi — wybraliśmy się z jedną armatką na polowanie na rosyjski balon captiv. Zajmował on w różnych miejscach pozycje i obserwował nasze stanowiska. Od rana mieliśmy go na oku i postanowiliśmy go sprzątnąć. Był jednak wciąż poza linią strzału. Popołudniu zdawało nam się, że się przybliżył na odległość strzału. Więc rozpoczęliśmy doń ogień, lecz okazało się, że był jeszcze o jakie 300 m. dalej, niż nasze pociski sięgały. Nie sposób tedy było go osiągnąć i rozbić. Jednak korzyść przecież osiągnęliśmy: spuścił się na ziemię i cofnął

o kilka kilometrów, tak, iż nie mógł więcej obserwować naszych pozycji. Strzelając do tego balonu, mimowoli uzyskaliśmy co innego: oto w miejscu, dokąd nasze pociski dolatywały, ćwiczył się batalion rekrutów rosyjskich. Widzieliśmy zupełnie wyraźnie, jak ten batalion się rozprasza, jak na polu walają się trupy...

— A powiedzcie, jak to było, gdy Januszajtis huknął naszym: „Zróbcie piekło!“?

— A bo to bardzo prosto było, zrobić „piekło“. W Bortnikach leżymy w okopach tyralierskich przez dwa dni. Cni się tak leżeć. Więc jak ci Januszajtis kazał „zrobić piekło“, tośmy z armatką i dwoma karabinami maszynowymi wysunęli się na półtora kilometra przed tyralierę i poczęli kropić. Widzimy, kozactwo ściąga powoli do Korołówki i znika w chałupach. Poczęliśmy strzelać do chałup i zapalać je. Na drugi dzień: ciągnie kolumna piechoty przez Gruszkę. Znow armatka przed tyralierą i strzelanina. Widzimy: kolumna się rozsypuje.

— Albo „piekło“ — mówi inny, — oczy mu się śmieją — cośmy je zrobili w Niżniowie. Ustawiliśmy się blisko mostu na Dniestrze i strzelaliśmy do chałup z otwartej pozycji. Jednocześnie stał nasz karabin maszynowy w bastyonie. Rypnął jeden granat, rypnął drugi. Widzimy, kozactwo ucieka z chałup. Ucieka pod strzały karabinu maszynowego. Cośmy wypłoszyli z chałup — to ka-

rabin maszynowy zgartywał... Takie współgranie to cudna rzecz.

— Ale najparadniej — mówi Łapicki — opowiada takie epizody nasz plutonowy. Warto posłuchać.

I do ordynansa: zawołaj tu plutonowego Rolnika!

Po chwili wchodzi do kwatery Szymon Rolnik z Borysławia, chłopak o huncwockim spojrzeniu i bezgranicznej zuchowatości w całej postawie.

— Rolnik, a jak to tam było

— O czwartej rano — mówi — szliśmy szukać pozycji. Chodziliśmy, chodzili, aż weszliśmy na kiepską drogę. Obeszliśmy las. Naszych wedet nie było w lesie. Przyszliśmy na jedną pozycję — zła była; przyszliśmy na drugą pozycję — zła była. Wreszcie dobra się znalazła. Stoją Moskale na cmentarzu i dokoła cerkwi. Wały takie byli — strzelali. Siadam na armacie, rychtuje, pan chorąży odmirzał: puknąłem. Powiada pan chorąży: dobrze jest, dalej strzylać. No to pukąłem.

i Moskale latają do góry.

No to tak pukąłem, że one psiawiary leżeli, a my stali...

I roześmiał się na głos swym huncockim śmiechem i zsalutowawszy, poszedł.

Rozstaję się z naszą gromadką. Mam jeszcze dzisiaj być na pozycyi. Trzeba pocwałować nad jary dniestrowe.

Już słońce zwolna zsuwało się za lasy i dalekie pola, gdy drożyną, wijącą się wzdłuż terasowato na wzgórzu rozsiadłej wioski naddniestrzańskiej, szedłem ku pozycyi naszego batalionu.

MIĘDZY GRANICAMI PAŃSTWA, A ZIEMIĄ WROGA.

Zmówiliśmy się z pułkownikiem Januszajtisem na całodniowy ekskurs wzdłuż całego odcinka. Nazajutrz miałem przyjechać z Czerniawki przez Dobronowce na punkt zborny.

Ruszyłem wczesnym rankiem. Szeroki gościniec wiedzie do ostatniej miejscowości naszej na północnym cyplu Bukowiny. Bieli się szeroka droga na falistym, postrzępionym, pełnym jarów i zagłębień stożkowatych terenie. Tuż za Czernawką zaczyna się las.

Właśnie się budził. Wśród jasnych zagajów na skraju lasu roilo się od fioletowych i białych, różowych, żółtych wiosennych kwiatów leśnych. Od tych kwietników szło w głąb lasu złotawe poszycie zeschłych liści. Las budził się... Szedł wskrós pni przyciszony szept i pogwar i szmer jaszielonych listeczków; gdzieś z głębokich jarów i zapadlin w głębi lasu dolatywało kumkanie żab... Coraz głośniejsze szumiało w lesie i coraz więcej promieni słońca padało na białe kropki

rosy, świecące na starych mchach. Począł się już koncert w lesie. Z różnych stron dolatuje pogwizd ptactwa i trylery i falsety, płynące z gajów, wiklów i rokiciny.

Po dziesięciu kilometrach drogi leśnej pejzaż zmienia się. U podstawy głębokiego parowu ściele się wieś Dobronowce, a za nią rozpościera się fałisty płaskowyż. Obejmujesz okiem bezkresne przestrzenie. To powierzchnia, na której zbiegają się granice trzech krajów Galicji, Bukowiny i Besarabii. Tu i ówdzie wąski strumyk znaczy granicę państw, tu i ówdzie spotykasz dwa słupy z „pasem neutralnym“ w pośrodku. Jakże dziwnie dziś wyglądają te samotnie na ugorach sterczące słupy i ten pas ...neutralny.

Z Dobronowic wije się kilkukilometrowa ścieżyna ku naszym pozycjom. Okopali się nasi chłopcy i pobudowali sobie na stokach pagórków podziemne kurytarze, w których kwaterują. „Pałac“ Januszajtisa jest arcydziełem sztuki technicznej. Na skośnym stoku wybite „drzwi“ — gdzieś skądś przytransportowanych kilka desek — wewnątrz na udeptanej ziemi tapczan, pokryty grochowiakiem, w pośrodku coś, przypominającego stół, a po obu bokach na palikach utwierdzone deski, imitujące ławy. W kącie otwór i wgłębienie; to piec i komin do gotowania stawy dla wodza.

Pozycje nasze ciągną się wzdłuż całego odcinka



Dr. Lotb lekarz 3 pułku.



Kapitan Dumikowski audytor II Brygady.



Of. prowiantowy 3 pułku por. Przepiliński.



Komendant baterii por. Gosiewski.

i dotyczą niemal łożów, któremi pokryte są stoki pagórków. Przed każdym rowem strzeleckim biela się trzy rzędy drutów kolczastych. Leżą nasze żołnierzyki w okopach na zmianę; zaś większość wyleguje się w swych zakamarkach, bądź krząta się po stokach i spędza czas na przeróżnych obowiązkowych i mniej obowiązkowych zajęciach.

Podjeżdżam pod pozycje właśnie w chwili, gdy ma się dokonać uroczysty akt dekoracyi za waleczność szeregu naszych legionistów. Naczelna komenda armii znów przyznała 66 dzielnym odznaczenia i dziś wręczyć je ma komendant grupy armii na tym terenie operującej.

Na jednej z polan, obramionej to rowami strzeleckimi, to lasem, ustawia się w czworobok jeden z naszych batalionów. W pośrodku „*carré*“ stoi gromadka chłopaków, mających otrzymać odznaczenia i sztab naszej Brygady.

— Bacność!

Na polanę wjeżdża ze świtą swą generał Weiss-Mainbrugg i stanąwszy przed odznaczonymi, przemawia:

(Po polsku) — „Kochani legioniści! Na widno-kregu sławy naszych dzielnych wojsk opromienił blask niejednego żołnierza, lecz dziś opromienia was światło chwały jaśniej niż kogokolwiek. Z pośród dzielnych żołnierzy, broniących dziś podstaw i całości naszego państwa, Was witam szczególnie i sercem pozdrawiam. Żal mi jedynie, że

nie dane mi w całości w waszym języku rodzinnym wypowiedzieć to wszystko, co dla Was czuję i czego Wam życzę.

(Po niemiecku): Przeżywam dziś dzień, jeden z najradośniejszych, kiedy dane mi jest ozdobić zasłużoną ozdobą piersi legionistów, którzy wiedzeni poczuciem miłości dla świętej sprawy, przez nikogo nie przymuszani, idąc za porywem serca, chwycili za broń ochotnie i mężnie, by rozprawić się z wrogiem odwiecznym, który nietylko orężem wojuje, ale jadem zdrady dusze zatruwa. Każdy z Was wie, że Moskał zwłaszcza Wam Polakom wiecznie wyrządzał krzywdy, że deptał Wasze prawa a dziś zwrócił się przeciw naszej monarchii z zapalczywością dzikiego zwierza. Wam, Polakom przypadła zaszczytna rola zwalczania tego wroga i zbudowania Waszym dzielnym orężem zasłużonej dla ludów tego państwa przyszości.

Poczem na piersi każdego z odznaczonych przypiął general medal waleczności.

Ach, nie wszyscy stanąć mogli do apelu, nie na wszystkich piersiach zabłysnąć mogła w blaskach wiosennego słońca srebrna odznaka z jednym z najpiękniejszych określeń, które przydać można mężczyźnie: „Waleczny!”.

Wywołał oficer ordynansowy nazwiska. Głucha cisza... I jeno od Karpat dolatywał w poszumie wiatru ku podolskiemu płaskowyżowi głos: leży

pod topniejącymi właśnie wzgórzami górskimi, już nań promień wiosennego słońca nie padnie...

— „Sekeyjny Kowalski Stanisław — srebrny medal waleczności I. klasy“.

Cisza... Mogilkę mu usypano hen daleko, pod Rafajłową, w mroźny dzień styczniowy...

— Baczność! Batalion przedefiluje przed dekorowanymi!

Sunie kompania za kompanią i składa honory wojskowe kolegom. Pochyla szablę oficer, prezentuje broń żołnierz — przed żołnierzem-kolegą, składa hold waleczności.

Po uroczystości wybieramy się w drogę. Konie przesiadano i ruszamy. Jest Januszajtis, adjutant jego por. Gniady, komendant 2-go batalionu drugiego pułku, oficer naszej żandarmeryi polowej Iwanowski. Jako jeźdźców meldunkowych bierzemy ze sobą Wiesława i Antosia Januszajtisów.

Wiesław już od szeregu miesięcy służbę żołnierską pełni w batalionie, jeden z najdzielniejszych legionistów, doskonały patrolista. Onegdaj dopiero nocną porą przedarł się przez zaskieki i pięć rzędów kolczastych drutów, poprzez fosy i wikliny, tuż popod pozycje moskiewskie, i natknąwszy się na patrol, przepędził ją, zabiwszy komendanta i zabrawszy mu krzyż Jerzego, który z uśmiechem na ustach pokazuje jako trofeum wojenne.

Antoś Januszajtis liczy sobie piętnasty rok życia, pali grube papierosy i przydaje sobie powagi domaganiem się gorzalki... Antoś przebył odyseje zanim dotarł do nas. Z guberni suwalskiej piechotą przywędrował do Częstochowy — trzydniowy marsz — poczem wzdłuż olbrzymiego frontu bojowego posuwając się, tak długo szedł, aż natknął się na brata i Legiony... Taki to już ród Januszajtisów. Piętnastoletni wyrostek wśród ciężkiej zimy, bez kopiejkę w kieszeni, wzdłuż gigantycznego frontu bojowego idzie samopas do Legionów... Teraz, mając przy boku bałamkające przydługie szabliki i na plecach kokieteryjnie zarzuconą kurtkę ułańską, dniem i nocą gotów do jazu meldunkowych „pana pułkownika“, którego tylko na kwaterze, gdy nikt nie słyszy, zwie ukradkiem „Maryanem“...

Wszyscyśmy już na koniach. Ruszamy przez pole... ku Dniestrowi.

Zjeżdżamy z pochyłości wzgórz, na których znajdują się nasze rowy strzeleckie. Przed nami bezkresna dolina, lekko sfałdowana, poprzerzynana jarami. W dalekiej perspektywie widać białe piaskowe plamy stromych brzegów Dniestru. Na jednej z pochyłości, mniej więcej w odległości 10 kilometrów, rozsiadła się wieś Bałamutówka. Ku niej zdążamy.

Mijamy folwark. Wśród wozów drabiniastych,

plugów i folwarcznych gratów, porozrzucanych wśród budynków gospodarczych, kwateruje węgierska kawalerya i stoi tren jakiejś dywizji.

Jedziemy wciąż polami i docieramy do pozycji naszej baterii. Kasper Wojnar o kilka kilometrów dalej, nad samym Dniestrem, siedzi w obserwatorium artylerzyckim; przy działach zastaje Łapickiego i Englisza. Bateria jest wybornie „zadekowana“. Kunszt tego rodzaju zakrywania pozycji armatnich przed argusowemi oczyma obserwatorów nieprzyjacielskich, doprowadzili nasi artylerzyści przez wielomiesięczne doświadczenia do takiej doskonałości, iż nie tylko nieprzyjaciel oczy wypatrzy, zanim baterię dojrzy i „zmaca“, ale i swój przejedzie mimo, a nie spostrzeże się, że tu na małym skrawku ziemi sterczy kilka błyszczących paszczek działowych, stoi kilka nalaadowanych szrapnelami i granatami, wokół zaś rozsiadło się kilka kretowisk, w których mieszkają ludzie.

Idę do „kwatery“ oficerów baterii. Sterczy nad ziemią kupka gliny z przebitym otworem, z którego unosi się wąziutka smuga dymu. Z boku prowadzi otwór do wnętrza. Złazi się po trzech udeptanych z ziemi schodkach i wchodzi do nory, wielkości małego pokoiku lub większej nyży. Tu sypialnia, jadalnia, kancelarya i cela telefoniczna baterii. W jednym kącie dwa tapczany — jeden nad drugim — jak w sleepingu — w drugim „biur-

ko" z aktami; w trzecim laweczka, na której stoi puszka sardynek, ser ementalski, szczotki do czyszczenia butów, misa cynowa, jakaś flacha, kilka pudełek papierosów, naboje rewolwerowe i czekolada; w czwartym kącie przykucnięty na słomie telefonista ze słuchawką przy uchu i połowym aparatem na kolanach.

Norę tę humor okopowy ochrzcił mianem „Hotelu pod wiechciem“ (właściciel „Jan Armata i tow., spółka z nieograniczonym apetytem“). „Pod wiechciem“ zwie się ten „hotel“ pod Bałamutówką dlatego, iż nad „dachem“ pysznie wznosi się i buja w wietrze grochowiskowy wiecheć. Dla „gości hotelowych“ humor okopowy stworzył nawet osobny „regulamin“, którego najważniejsze postanowienia brzmią:

1. Szrapnelom i granatom wstęp wzbroniony.
2. Goście z prowiantami mile widziani.
3. Każdorazowa wizyta oficera inspekcyjnego powinna być meldowana najmniej 2 godziny przedtem.
4. W godzinach wieczornych uprasza się głośno nie strzelać.
5. Warcie i telefonistom nie wolno przerywać snu.
6. Palenie tytoniu bez potraktowania jest najsurowiej wzbronione.

Z pozycyi artylerzyckich przez pola ku drodze, wiodącej terasowato ku wsi Bałamutówce. Na szczycie terasy nasze obserwatoryum i na stokach spadów dniestrowych nasze „pufki“, nasze 37-milimetrowe armatki Gosiewskiego. Jedna z nich stoi w wydrążeniu skały i opukuje wroga, widocznego gołem okiem po drugiej stronie Dniestru, wijącego się tu przepysznyimi skręty...

Zwolna dzień wiosenny chyli się ku końcowi. Słońce straciło blask i sine światło oblewa pola i lasy. W stawach i stawkach poczyna się koncert żabi. Dokoła młoda wegetacya usypia... Listki stają się jeszcze niklejsze, kwiecie gdzieś się pochowało. Wszystko w naturze zapada w ciszę nocną...

Wracamy przez stoki wzgórz ku pozycjom. Należy się nam wypoczynek i menaż. W „pałacu“ Januszajtisa gromadzimy się i skądś znalazło się salami i „offensivgeist“ firmy Baczewskiego i jakiś zasuszony piernik i kubek herbaty, ugotowanej przy ognisku.

Gewędzi się o tem, co każdemu leży na sercu, o tem, co każdy przeżył i o tem, co na froncie nasze żołnierzyki w ostatnich dniach zdziałały.

Oto np. wybiera się późną nocą podporucznik Zygmunt Rybak z 7 ludźmi — nazwiska tej dzielnej garstki trzeba sobie zapamiętać: byli to: sierżant Władysław Nowicki, kapral Józef Bielawski, legionieści Józef Malicki, Adam Ruczkowski, Fran-

ciszek Godek, Franciszek Staszek, Kazimierz Wojtowicz.

Przedostają się przez trzy rzędy naszych okopów i wnikają w ciemny las. Idą na wprost okopów nieprzyjacielskich. Przekradać się muszą z wielką, nadzwyczajną czujnością. Bo niech zawadzi który o suchą gałąź, niech zachrzęści podścielisko zeschniętych liści, niech się który potknie o pniak — i patrol zdradzony. Bo przed okopami nieprzyjacielskimi gęsto rozstawione placówki, pelzają po lesie ostre druty, czyhają doły i zasieki. Idą z jakichś 800 kroków i ominąwszy wszelkie trudności, stają tuż przed okopami nieprzyjacielskimi. Wtedy każdy z nich sięga do torb i kieszeń, wydobywa blaszane puszkę i jakieś dziwaczne instrumenta na pikach. I już powietrze przeszywa świst i już w środek okopów wroga wpada chmura granatów ręcznych, rozpryskuje się i szerzy zniszczenie. Powstaje straszne wśród wroga zamieszanie — nim się spostrzegł, już nasza ósemka w głębokim borze, już pelzając i na wszystkie strony się rozsunąwszy, wraca przed nasze druty kolczaste i poprzez nie do naszych pozycji...

Oto np. przed kilku dniami, nad samym Dniestrem, między Okną a Samuszynem, ot taki sobie zwykły nasz „treniarz“, eskortujący jakiś wóz z gulaszowem konserwami czy czemś podobnym, zmusił do wylądowania aeroplan rosyjski i schwytał dwóch oficerów-lotników rosyjskich. Był to

pochmurny dzień i słońce skryło się za chmurami. „Aeroplanowi odwróciło się w głowie“ — raportował nasz zuch swemu komendantowi — wziął prawy brzeg Dniestru za lewy i opuścił się na 15 metrów. Stoi opodal nasz tren batalionu Stożka i przy nim warta. Nasz treniarz zoczywszy aeroplan, poczyna wrzeszczeć: „Złaź!“ i już karabin zwraca ku niebu i poczyna pukać. „Na wiwat, dla postrachu mocha“ — raportował później. „Widząc, że nie żarty, bo będę strzelał, bestya spuściła się“. Wsiadają z aeroplanu kapitan rosyjskiego sztabu generalnego i porucznik-lotnik.

Pierwsza myśl naszego treniarza:

— Dawaj papierosa!

Obruszył się pan kapitan rosyjskiego sztabu generalnego:

— Uchadi won, ja kapitan, a ty prostoż soldat!

Bierze go nasz treniarz pod rączkę i rzecze:

— I tak będziesz w kozie razem ze swoim kapitaństwem!

Na takie dictum dostał papierosa... Lecz co daleko ważniejsze: aeroplan dostał się w ręce; patrol konny huzarski, który już dawniej śledził za aeroplanem, nadjechał właśnie w chwili pogawędki naszego treniarza z oboma nowymi jeńcami. Patrol ich zabrał i zapisał w księdze swych czynów wojennych zdobycie aeroplanu rosyjskiego. Treniarz nasz wciągał dym papierosa...

Późna noc. Cisza nad wzgórzami i rowami strzeleckimi. Nic nie wskazuje, że tu na przestrzeni niecałego kilometra stoją poza okopami, zasiekami, drutami z bronią w rękę dwa rzędy żołnierzy. Idę do jednego z zakamarków ziemnych, by się przespać. Ledwom zdążył ułożyć się, dolatuje huk karabinowy. To przed liniami węszą i uganiają się patrole nocne...

TRZECI MAJA.

„Jutro, w niedzielę 2. maja odbędzie się na punkcie opornym, kota 458, o 200 kroków na zachód, msza polowa z kazaniem o godzinie 9 rano. Szczegółowe dyspozycje co do udziału wolnych od służby oddziałów wyda komendant odcinka podpułkownik Januszajtis“.

Z odprawy Komendy 2. Brygady z dnia 1 maja.

Kota 458 o godz. 9 rano. Dwutygodniowa praca przemieniła nasz front do niepoznania. Kto przed tygodniem przedarł się przez błociska i gąszcze na wzgórze naddniestrzańskie, przez trzęsawiska wyłotów bessarabskiego niżu, przez bagniska jarów i wykrotów — miał wrażenie pustki, dziczy, uroczyska. Wiele z pejzażu „Dzikich Pól“, wiele z romantyki wschodu.

Jakżeż innym wydaje się dziś widok z tych wzgórz, widok, obejmujący pogranicze dwóch państw, a trzech krajów. To nie tylko wiosna, nie tylko moc słońca opromieniła odcinek — lecz czło-

wiek go „uporządkował“, przysposobił. — Przy-
sposobił dla celów wojennych. Więc na stokach
wzgórz pietrzą się małe, z kamieni rzecznych uło-
żone domeczki (kwaterują w nich dziś nasi kawalerzyści spieszeni); więc popod pozycjami ciągną się kretowiska o długich krużgankach i miniaturowych wgłębieniach; więc ciągną się ścieżyny, wiodące z pozycyi ku kwaterom rezerw tuż poza niemi; więc porobione są ganki i przelazy, altany i werandy. Więc pozycye same dziś już przekształcone w twierdze i fortece, solidnie wybudowane; więc widać ziemianki i przedpiersniki, kobylice i ganki; więc srebrzy się przed niemi drut kolczasty i twardy drut gładki; więc ciągnie się mocno skomplikowane odrutowanie ziemi w głąb, w szerz i wzdłuż, więc stąpać musisz ostrożnie, bo na każdym kroku przeszkoda; to zwalona kłoda, to dach przykryty darnią, to przewód elektryczny, to nić, tajemniczo wśród darni w las biegnąca...

Trzeba się dopiero przyzwyczaić do tego sposobu wojowania. Nasza „Brygada karpacka“, nasz drugi i trzeci pułk, dotychczas tego rodzaju wojny pozycyjnej — której wzorem bój w lesie Argońskim — nie przechodził. Przez siedm miesięcy wciąż w pochodzie, wciąż w marszu, wciąż w ofenzywnych ruchach, przemierzając setki i tysiące kilometrów — teraz uczy się nowych sposobów prowadzenia wojny, sposobów, w których jedne z pierwszych skrzypiec dzierży pionier, jedną

z pierwszych ról odgrywa technika. Obecny okres w dziejach walk Legionów — to dalszy etap w doskonaleniu się wojska polskiego.

O godzinie pół do 9 rano poczynają ściągać na polanę oddziały wolne od służby. Wkrótce zaludnia się polana. Na skraju lasu stoi ołtarz... Z trzech stron dokoła rzędy żołnierzy. Ksiądz Antosz przed ołtarzem. W blaskach słońca czerwienieje ornat i aparaty kapelana polowego, który na białą komżę wdział dziś przepisany „*tempore belli*“ strój kapłański. Stoi wśród zielonego szeregu drzewek, wiodącego do umajonego wiosennym kwieciami ołtarza, a idzie ku niemu poszum lasu i śpiew ptasząt...

Dokoła cisza i skupienie. Tylko od pobliskich okopów idzie czasem trzask i łomot, szmery zsypującej się pod naporem łopaty ziemi i zdławione kroki sunących chyłkiem, a niewidocznych ludzi...

Ksiądz Antosz staje u wylotu szpaleru; pod stropy bije jego przeczysty, dźwięczny głos.

...Dziś ...120 lat temu... przeddzień konstytucyi 3 maja... puścizny chyłcej się do grobu państwowości... Dzień drogi sercu, gość, co roku nas nawiedzający...

...Lecz jakaż różnica między corocznym obchodem a dzisiejszym... Dziś wobec wroga, na pozycyi, opromienieni, czekamy, czekamy...

Kaznodzieją, który duchowo i niemal fizycznie
rośnie, olbrzymieje, jest ks. Antosz. Gdy opowie-
dziawszy dzieje konstytucyi, począł z nich wy-
snuwać wskazania na dzisiejszą dobę, gdy mówił
o tem, jak to trzeba „młodszym sposobić skrzy-
dła dla ducha“ — zdało się, że wśród tego zielo-
nego przestworza pod granit jego słów podsuwały
się skrzydła i unosiły je hen wysoko.

...Vigilate!... Czuj duch!... — szło od lasu ku
okopom, a po przez nie ku niżowi.

Ksiądz Antosz już uleciał od twardej prozy ku
natchnionej poezji. Zawsze to tak u niego. W pe-
wnym okresie kazania wykwita z krasomów-
czych okresów niewiązanej mowy kwiat poezji,
zwrot jednego z wieszczów, słowo Kochanowskiego
czy Adama i odtąd poczyna się dwugłos poety-
czny: wieszczą i improwizacyi własnej.

Więc słyszymy słowa wieszczę, tak dziś zaktu-
alizowane:

...Dzieje ziemi na grobowcach czytaj — a o sła-
wę, o wolność przodków naszych pytaj...

Więc słyszymy filarecki imperatyw: Ojczyzna,
nauka, cnota...

Więc gdy kaznodzieja uzasadnia, że Ojczyzna
dziś więcej niż kiedykolwiek potrzebuje chara-
kterów, to słowami poety:

Zmartwychwstaje się z pod gromu

Ale nie zmartwychwstaje się z pod sromu...

I drugi motyw kazania:

...Dziś dzień Zygmunta, 2 maja.

...Jest u nas w Polsce stary Zygmunt, co tam
zawieszon na Wawelskiej wieżycy; dziś po falach
modrej Wisły głos jego w całej naszej rozchodzi
się Ojczyźnie...

Burzliwe myśli cisną się każdemu po mózgo-
wnicy przy tych słowach kapelana. Głos Zygmunta
na falach Wisły płynący... Hejnał wieżycy... I gra-
nica Bessarabii...

I jakby wyczuwając te myśli słuchaczy, podnosi
głos kaznodzieja do natchnionego finału:

...Dzwoń, miły Zigmuncie, dzwoń, na wielką
godzinę swobody; my wolni do wolnych wycią-
gniemy ręce,

podniosą się nasze sztandary
przepadną satrapy i cary.
wieko się trumny odkryje.
odżyje Polska, odżyje!...

Popłynęła potem od lasu poprzez okopy ku be-
sarabskim niżom, ku krainie cara, z tysiąca piersi
wyrywana pieśń: „Boże coś Polskę“...

PATROLE.

Patrol wnika w las...

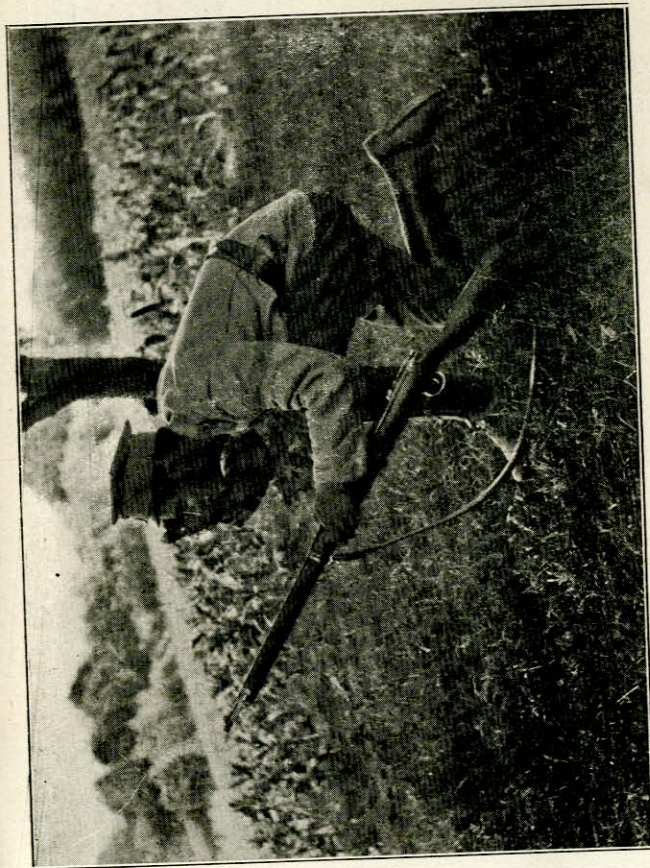
W szalacie komendanta odbyła się konferencja; dwie głowy pochylili się nad kartą specjalną, coś na niej znaczą, każdy milimetr papieru, każdą kreskę, każdy znaczek badają. Tu ścieżka, a tu kota, a tam triangul, a tu posterunek, a przed tą polaną miej się pan na baczości, bo tam warta polowa moskiewska!... No, idź już pan, a szanować materyał ludzki!

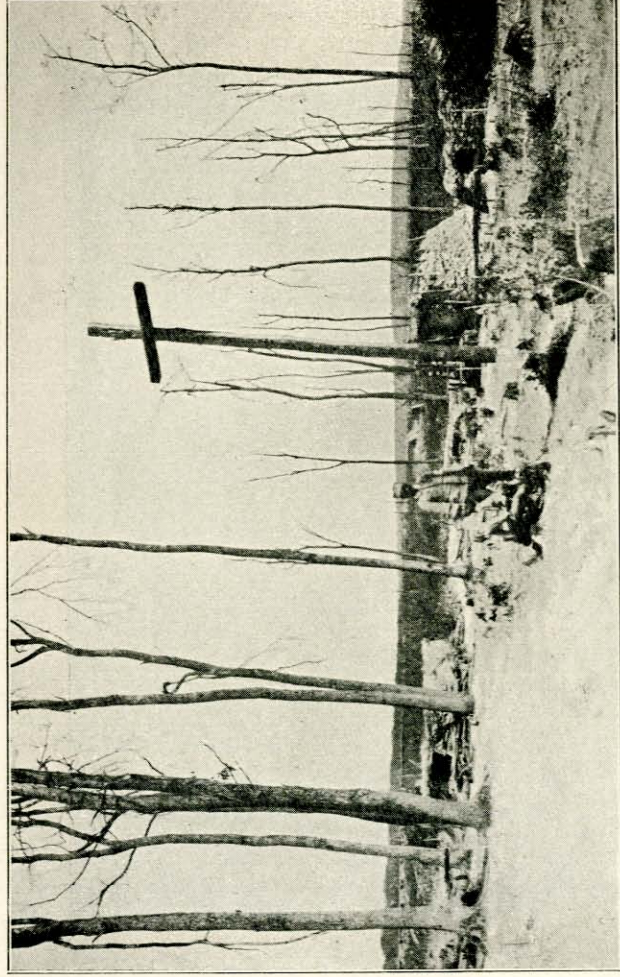
Uścisk dłoni i komendant patroli opuszcza szalac.

Przed okopami, w przejściach między drutem kolczastym, stoi w ciemności mały oddziałek ochotników. Pod wieczór poszło między batalion: pół kompanii i jeden oficer na ochotnika; patrol nocny. Zgłosiło się pół batalionu i wszyscy oficerowie. Więc trzeba było wybrać.

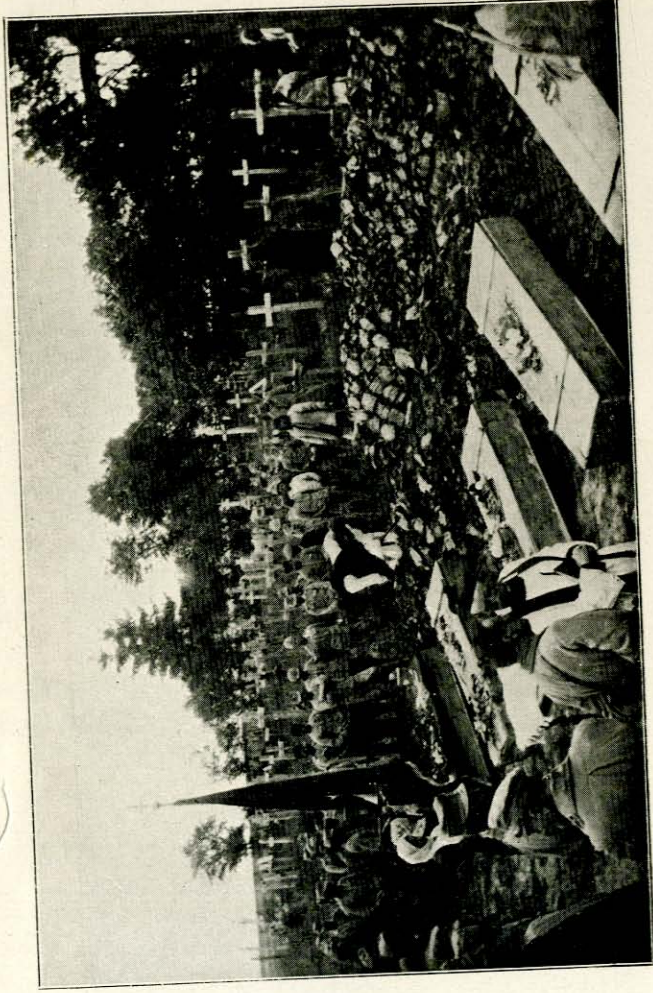
Ciemno, choć oko wykol. Ani gwiazdy na firmamencie.

— No, chłopcy, idziem!

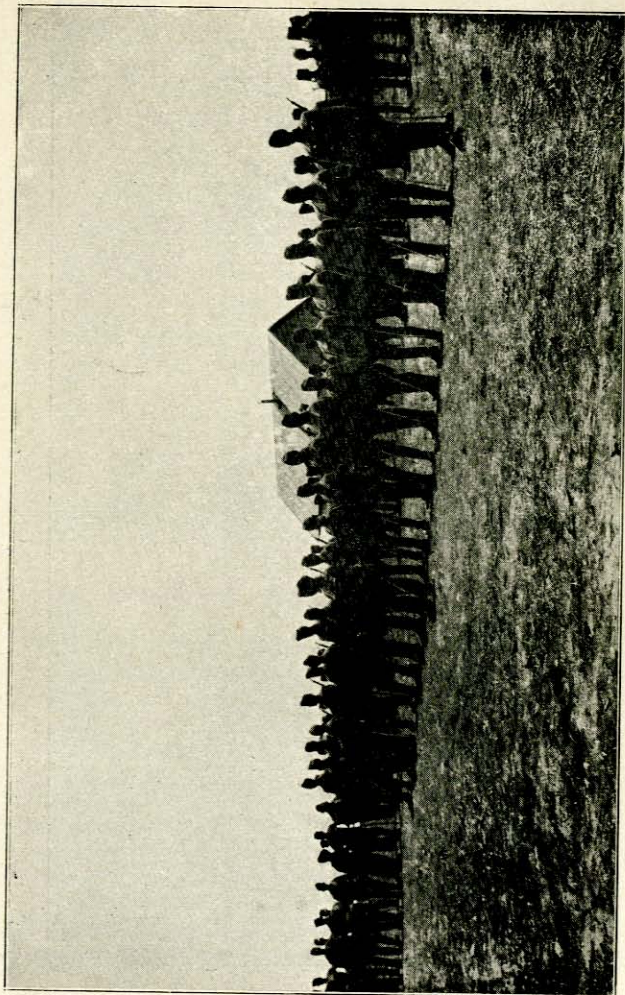




Przełobami 3 pułku krzyż żołnierzy przez Legionistów. Drzewa szarpaniami poniszczono. Granica Bessarabii.
Maj 1915.



Pogrzeb rotm. Własowicza i uczestników szarży.



*Uczestnicy szarży na wzgórze nad Rokitną (czerwiec 1915) ustawieni celem dekoracji mełkami za waleczność
Rzutnicze 24 VI. 1915.*

Po chwili przed drutami kolczastymi stoi oparty o karabin jeden tylko legionista. Warta.

Patrowanie, lub jak to dawniej mawiano, nadstawianie ucha, wyprawa mniejszych pocztów, sprowadzanie języka, zapuszczanie zagonów w stanowiska wroga, jest jednym z tych kunsztów, w którym znakomicie wyćwiczyli się legionieści. Niemal już roczny bój wytworzył nawet okazały zastęp specjalistów w tym kunszcie. Pamiętne są patrole hr. Rostworowskiego z naszej kawalerii pod Mołotkowem, pamiętne rozjazdy wywiadowcze 3 szwadronu Brzezińskiego, pamiętną wyprawą Romaniszyna pod Ökormözö poza tyły armii rosyjskiej, pamiętny patrol Smorawińskiego pod Papfalva. I tyle, tyle innych.

Obecnie teren walk Legionów szczególnie sprzyja temu rodzajowi kunsztu wojennego. Legiony, przedziela od nieprzyjaciela przestrzeń nie wynosząca nawet 1 klm., mimo to wskutek właściwości terenu, chcąc zasięgnąć języka i uchronić się przed niespodziankami, muszą stale wywiadywać, stale patrolować, stale posługiwać się zdecydowanymi na wszystko zagonczykami do przetrząsania okolicy.

Jest to tasama polać ziemi, na której Nowowiejski z trzema setkami swej lekkiej jazdy, rozbijał w puch nawalę ze wschodu ciągnącą, tensam szlak,

którym bohaterowie Wołodyjowskiego ciągnęli, ta sama rzeka „porośnięta derenią i świdwą“, ta sama ziemia na której gdy „pobujnieją trawy“, to w nich jeździec z koniem się zanurzy, tensam pas, który jak ongi przerzynają „jary, odaje, zbójcekie komysze“, tesame wyniosłości na których, jak wówczas „gaje rozciągają się, jak okiem sięgnąć, pokrywając grunt, miejscami zaś tworząc kępy, między którymi szarzeją puste przestrzenie“.

W ciągu ostatnich tygodni walk pozycyjnych Legionów na pograniczu gubernii bessarabskiej, odznaczyło się kilka patroli zarówno nadzwyczajną odwagą jak i ważnością meldunku, przywódczom dostarczonego.

Proste, brachylogiczne słowa raportów, przesłanych wyższym władzom wojskowym, najlepiej może zobrazują, jak się nasi legioniści sprawiają.

Kapitan Zaleski, komendant 1-go batalionu, 3-go pułku, raportuje:

„Melduję, że dzisiaj o godz. 9^{1/2} rano wysłałem w kierunku nieprzyjaciela trzy patrole, każdy w sile 50 ludzi. Prawy patrol skrzydłowy pod dowództwem chorążego Majewskiego, zaatakował ogniem z dwu stron placówkę rosyjską, w chwili jej zluźnienia i rzucił do trzech rowów cztery granaty ręczne. Jaki skutek tem osiągnął, trudno skonstatować, w każdym razie musieli Moskale

mieć straty, skoro przez czas dłuższy nie strzelali. Patrol środkowy pod dowództwem chorążego Filipka, podszedł pod okopy rosyjskie i zastrzelił dwie wedety, musiał się potem szybko wycofać wskutek silnego ognia z okopów. Patrol lewo-skrzydłowy pod dowództwem Romaniszyna podszedł drogą kordonu Sawokrynicznego aż do wąwozu, gdzie napotkał nieprzyjaciela, leżącego w tyralierce. Rzucił do wąwozu siedm granatów, naco Moskale odpowiedzieli nadzwyczaj silnym ogniem karabinowym. Strat nie było żadnych“.

Podpułkownik Januszajtis, komendant 2-go pułku, raportuje:

„Dziś o godzinie 4 rano wyszedł patrol złożony z półkompanii 2-ej 2 pp. Legionów pod komendą podporucznika Mieczysława Smorawińskiego. Pa-przyjacielskich. Po dojściu do leśniczówki, patrol na wschód od koty, tam się zatrzymać 24 godzin i przeprowadzić dokładny wywiad pozycyi nieprzyjacielskich. Po dojściu do leśniczówki, patrol natknął się na chatę w lesie, zajęta przez kwatrujących w niej kozaków, którzy starali się uciec, jednak zostali do nogi wystrzelani lub wycięci bagnetami. Byli to kozacy 10 pułku 5 sotni, jak świadczy załączony, znaleziony przy kozaku dokument i fotografia. W pościgu za kozakami dwa zastępy patrolu natknęły się na okopy nieprzyjacielskie koło młyna, znajdującego się na

wschód od leśniczówki, przytem wywiązała się silna strzelanina, podczas której padło ze strony rosyjskiej kolo 40 zabitych i rannych kozaków, reszta masowo uciekla ku swoim okopom. Z naszej strony straty następujące: 8 lekko rannych, w tej liczbie podporucznik Smorawiński“.

Gdy powyższy raport podano władzom wyższym, nadszedł rozkaz, by Smorawińskiego podać do odznaczenia wojskowego. Januszajtis, wezwany do ułożenia wniosku, podał:

„Podporucznik Smorawiński od początku wojny służy bez zarzutu i stale odznacza się wielką odwagą oraz wysokimi zaletami oficerskimi. I tak między innymi: w defilee pod Krzywórną w ciągu całego dnia jednym plutonem przeszkadzał skutecznie całej brygadzie rosyjskiej przejść przez defilee; pozostając wciąż bez rowów w ogniu artylerji i karabinów maszynowych, nie poniósł żadnych strat. Pod Ökormözö wszedł z 10 ludźmi do środka rosyjskiego ugrupowania i podpalił wieś Rokamezö. Pod Kirlibabą w ataku spędził nieprzyjaciela z pozycyi, zamykającej przejście przez most. Ostatnio przeprowadził nadzwyczaj umiejętnie akcyę, przeprowadził swój oddział pod samą leśniczówkę, gdzie znajdowali się Moskale. W ostatniej chwili zaczęli oni uciekać, jednak legioniści prawie wszystkich wystrzelali lub wykłuli. Moskale poddać się nie chcieli, ponieważ przypuszczali, że zdążą się ukryć w okopach swych, od-

dalonych o 30—50 kroków. Żołnierze rosyjscy znajdujący się w okopach, nie strzelali, prawdopodobnie obawiając się trafić w swoich. Dopiero gdy tych już nie było, patrol Smorawińskiego z odległości 30—50 kroków został wzięty pod ogień i przez przeważającego nieprzyjaciela zaatakowany. Mimo to podporucznik Smorawiński potrafił bez znaczniejszych strat wycofać się, osiągając tak znaczne korzyści; podczas odwrotu idąc na końcu, został ranny. Zastrzelił z rewolweru sam 2 Moskale, którzy poddać się nie chcieli... Legionista Ignacy Dobosz, towarzyszył stale swemu komendantowi i kiedy przygwoździł do ziemi bagnetem Moskala, został ranny w udo; mimo to przytrzymał Moskala, a kiedy nie mógł wyciągnąć bagnetu, bo wbił go w Moskala razem z lufą, pozostawił swój karabin, a powrócił z moskiewskim...“

Następnej nocy czterech z pośród ośmiu lekko rannych, mimo perswazyi niechęąc nawet na krótko odejść z frontu, poszło na patrol...

UROCZYSTOŚĆ W OKOPACH.

W przeddzień św. Stanisława otrzymaliśmy z Piotrkowa oficjalną wiadomość o awansie chorążego Siczka. Oficer-rzemieślnik, co się zaciągnął za szeregowca, a siłą swej odwagi, swego junactwa, swych zasług, wznosił się do godności dowódcy. Legionista-mechanik, co już na wojnie wniknąwszy w tajniki skomplikowanego aparatu, jakim jest karabin maszynowy, stworzył wzorowy oddział i zagarbował znaki swego męstwa, swej przedsiębiorczości na skórach setek Moskali.

Więc nie zmówiwszy się wcale, gdy dzień się chylił ku końcowi, roboty były już zakończone, dyspozycje na noc wydane, poczęli się ściągać przed szalas Siczka, o 10 kroków za okopami, oficerowie i przyjaciele.

Więc zaszczycił swego zasłużonego podkomendnego pułkownik Januszajtis, więc z sąsiednich okopów przyszedł komendant I. batalionu 2 pułku Stożek, więc nadszedł gość z 1 pułku Krzyski, lekarz, co znak służby sanitarnej zamienił w dystynkcje oficera frontowego, więc zeszedli się kompanijni i plutonowi, Czech i Muszyński, Kmiotek

i Bursa, Jastyr i młodszy Zaleski, więc ze sztabu przyszli Okołowicz i Iwanowski, oficerowie naszej polowej żandarmeryi.

Przed szalasem Siczka zaimprovizowana weranda. Stół, a na nim traktunek. Żołnierski on, niewybredny, a wielce smakowity. Więc nieodzwonne salami i ser szwajcarski, więc puszkony konserw chaché czy gulaszu, więc „aqua vitae“...

— Dziwnie począł się, opowiada Siczek, dzień mego patrona. Ledwie świt budzi mnie huk armatni. To nasza bateria zoczyła skradający się popod lasem patrol nieprzyjacielski. Po chwili słyszę salwy z naszych okopów. Biegnę do karabinu, rychtuję maszynę i zasypuję mochów... Takżem uczcił dzień św. Stanisława, mego patrona...

Na pogawędce płyną chwile. Na zachodzie krwawi się luna zachodzącego słońca, a w lunę tę wsuwają się czarne wierzchołki sosen, gdyby gotyckie wieżycy. Tuż przed nami, na dnie głębokiego jaru, kłębią się mgły i idą zwyż. Przed okopami jeszcze cisza... Gdzieniedzie z szalasów migocą światełka, gdzieniedzie na przedpierzniku zabłyśzczy w pomroce stal karabinu lub zasrebrzy się wążka struga świetlna lampki elektrycznej oficera inspekcyjnego.

Siedzi przed szalasem gromadka i śpiewa. Żołnierz, gdy się raduje śpiewa, gdy idzie do ataku, gdy siedzie przy stole, gdy zaszyje się w las, gdy przykucnie w okopach; wzdłuż okopów idzie wie-

czorami nucenie to smętne, to skoczne; tu rodzi się pieśń obozowa, tu wypowiada się i tęsknota i marzenie...

Już się niejednen nieco „wstawił“, już się nieco z czubów dymi, już rozigrała się natura żołnierska, o której piosnka mówi, że „sobie musi rozradować duszę“ na każdy dzień tygodnia inaczej.

Więc idą krakowiaki to złośliwe, to wielbiące, więc znalazł się znawca Łyczakowa i jego poezyi łobuzowskich, więc płynie piosnka o „rozetach“, więc rozgrzewa się młoda krew i idą strofy ślizkie, wnetliwe, utajony zmysł i popęd erotyczny zdradzające...

Więc po chwili w gromadzie zmienia się nastrój: z figlarno-pustego przechodzi w ton ściśle wojenny. Więc przypominają się te piosnki, powstałe zimą przy ogniskach, na szczytach karpaczkich. Więc idzie pieśń:

„Od Krakowa moc się wali
dziarskich chłopców na Moskali“...

A w niej tak dosadnie:

„Moskal świnia ostrzy zęby
wybijem mu wszystkie z gęby“...

A nuta pewności:

„Cóż pomoże walka rusa,
Gdy nań idzie polska dusza“...

I ten ton podniosły na końcu pieśni:

„Wszystko zniesiem — życie damy,
lecz swą Polskę odzyskamy!

A gdy legniem w obcej ziemi,
popłaczecie za swojemi,
lecz gdy wrócim w domu progi,
szczęście, spokój wniesiem błogi“...

A potem jedna z tych pieśni, która w swej nieporadności słownej, w swem niedołęstwie formalnem mieści jaśniejący kryształ wiary i buntu, nadziei i oporu:

„Bracia szeregowcy
zważajcie na Boga,
że w tym ruskim carze
znaleźliśmy wroga,
on nas wywiódł w tany,
skuć nas chce w kajdany“.

A potem tak soczyste, tak jędrne i tak bezwzględne wyrazy, jakie tylko żołnierka, środowisko obozowe rodzi...

Już całkiem ciemno wokoło. Jeno z flanki płyną szerokim strumieniem poprzez gąszcze blaski naszego reflektora, a z przed zasieków drucianych i z przed wart polowych wybucha okrągłym łukiem rakietą świetlna i oświeciwszy przez chwilę pozycje nieprzyjacielskie, zdecha w czarnem poszyciu boru...

I nagle, jakby przeobrażenie, jakby nie ci sami! Śpiew podniecił, trunek rozochocił — więc ktoś swywolnie rzucił w ciemność refren piosnki zwątpienia, paszkwilu, jadu: o tem, jak to żołnierzykowie „są jak psy...“ W tej chwili podniósł się Ja-

nuszajtis i cisza się natychmiast stała. I swym rozkazującym, zniewalającym tonem powiedział kilka zdań. Mówił jako żołnierz i kłam wykazywał paszkwilu. Więc natychmiast wszystko oprzytomniało, natychmiast czuby wyparowały, natychmiast wszyscy spoważnieli.

Ten człowiek ma dziwną moc władania ludźmi.

I już innemi tony popłynęła rozmowa. Wypelzł z pod szarego munduru polowego żołnierza instynkt socyalny, arystotelesowskie „zoon politicon“; poczęły się marzenia na głos o przyszłości... Dusze poczęły się unosić hen poza krańce Bessarabii, ulatywać tam, gdzie krew serdeczna sączy się we własny kraj i użyznia plon tej wielkiej ofiary...

W ciemną noc, tuż pod rowami strzeleckimi, mając o jakie 800 kroków przed sobą zdradzieckiego wroga, marzyła garstka oficerów polskich, a jak do ich przodków przed stu laty, tak i do nich stosowały się słowa rycerza-poety, autora wydanego w r. 1805 „Wiersza do Legionów polskich“ Cypryana Godziemby Godebskiego:

„W ich zbrojnym ciele dusza narodu jaśniała,
Na twarzy była rozpacz, a na czole chwała;
Każdy pyłem okryty marsowego znoju,
Nucąc hymny ojczyste, pałał żądzą boju;
A gdy wśród tętu koni, trąb i kotłów wrzawy,
Godzinę walki bożek zapowiadał krwawy,
Zamiast odkazu innej dla siebie spuścizny,
Jeden drugiemu pomstę polecał Ojczyzny“.

DZIESIĘĆ DNI OFENZYWY NA GRANICY BESSARABII.

Fala wielkich zdarzeń na terenie walk w Galicyi poczęła i nas unosić...

Przez niemal miesiąc staliśmy na krańcowym cyplu gigantycznego frontu, na punkcie zwrotnym, niby u nasady wachlarza, który się rozchyłał... Okopaliśmy się nad Prutem, mając za sobą siną wstęgę rzeki, przed sobą zgliszcza Sadagóry, ruinę wielkiej cukrowni w Łużanach, spopielonej przez wroga, płonące wsi, znaki rozbestwienia ludzi, wywierających płaską zemstę na dobytku za niepowodzenia swego oręża...

Przykucnęli chłopacy w rowach strzeleckich, pochowani w ziemiankach, rozstawieni po szańcach i tuż nad rzeką wysuniętych wartach polowych, patrolowali na ziemi, zajętej przez wroga, snuli się w ciemną noc tuż pod jego pozycjami, to próbując uszczknąć nieco z jego szeregów, to wciągając go w zasadzkę,

Aż fala wielkich zdarzeń i punkt zwrotny unosić poczęła... Zadrgał on i poruszył się... Dochodziły nas z zachodu echa: od Karpat sunie całe

lewe skrzydło w głąb Galicyi — idzie ofenzywny ruch wzdłuż całego frontu — już pod Nadworną, już Śniatyn, już wzdłuż północnej granicy Bukowiny...

Czuliśmy, że i my pójdziemy naprzód. Minał pierwszy tydzień czerwca w oczekiwaniu i na przygotowaniach. Wreszcie rozkaz: naprzód! 8-go czerwca w nocy: ledwo świt przesunąć się niespostrzeżenie z całą Brygadą, maskując małymi, pozostawionymi oddziałkami i wartami polowemi poruszenia, do najbliższej kładki na Prucie — i przeprawiwszy się przez rzekę — uderzyć!

Przez 10 następnych dni byliśmy wciąż w ruchu, wciąż na koniach. Obozowaliśmy pod roziskrzonym sklepieniem, na mchach leśnych lub wysokich trawach pastwisk. Ledwo brzask zrywając się — po północy się kładąc.

To, cośmy przeżyli i zdziałali — zostanie w spokojniejszych czasach utrwalone w sposób pragmatyczny. Podaję tylko wyciąg z notatnika. Pisałem go na krótkich postojach, czasem na koniu, a czasem na ziemi leżąc, czasem na ubitej glinie rowu strzeleckiego notatnik oparłszy. Spi-sywałem notatniki pod bezpośredniem wrażeniem przeżyć, z dnia na dzień, z godziny na godzinę.

9. czerwca. Przed kwaterą naszą w Cecinie osiodlane konie. Ostatni meldunek telefonu polowe-

go ze Strileckiego Kutu, Byli i Rewy; wszystko gotowe: główna kolumna w ruchu; dla zamaskowania poruszeń oddziałki i warty polowe rozstawione, gęsto strzelające; armaty grają, by nieprzyjaciel przed naszym frontem był zajęty; nieprzyjaciel ani przypuszczał, iż zachodzimy go z boku. Więc: ściągnąć telefony.

Ruszamy w drogę. Przez lasy i polany, pędem wśród budzącej się przyrody, w przejśny dzień czerwcowy. Mamy dotrzeć do wąskiej kładki pod Korosowatą. Wozy wysłaliśmy już wprzód do Hlinicy, by się tam u przyczółka mostowego przepawiły wygodnie przez Prut.

Ostrożnie przeprawiają się nasze bataliony na drugą stronę rzeki. Przemarsz o 6-ej rano ukończony. I już sine mundurki znikły w łożach, już szeroką tyralierą suną naprzód.

Brygada ma dziś działać w trzech kierunkach. Major Lorsch z jednym batalionem ma atakować w kierunku Kocmania, jako łącznik między Legionami i operującą w lewym z nami w sąsiedztwie węgierską dywizją; pułkownik Zieliński z główną masą naszych oddziałów ma szturmem zająć Mamajestie; major Minkiewicz ma się z trzema batalionami wysunąć na północ i — o ile można — zbliżyć do Witelówki.

Równocześnie z nami działa cały korpus. Po prawej i lewej stronie — wszystko jego grupy. Pierwsza faza bitwy: przygotowanie ataku przez

artylerię. Więc zewsząd dudnią działa. Powietrze drży, przeszywa je huk z wszystkich stron. Tu przeciągły świst wylatującego tuż obok z paszczęki stalowej szrapnela, tam głuchy brzęk strzelającej z gór baterii, a tam przytłumione, mdłe echo działających w oddali armat...

Siedzimy w forcie przyczółka, w podziemnej norze ustawivszy telefon polowy i słuchamy tego współgrania szeregu baterii, ziejących ogniem ze steroryzowanego tym niespodziewanym koncertem rannym nieprzyjaciela.

I już pod osłoną ognia artylerzyckiego, torującego drogę, idą nasze kolumny, rozsypują się w linię tyralierską, manewrują po drogach i drożynach, po lasach i jarach, podchodzą do miejscowości, które mamy zająć.

Drugi batalion 2-go pułku, wysuniętego między Legiony a dywizję węgierską, ciężkie, bardzo ciężkie ma zadanie. Tam skierowuje nieprzyjaciel morderczy ogień, — a jednak batalion klinem się wbija w teren nieprzyjaciela i — dociera do Komana.

Pułkownik Zieliński bosko dziś pracuje. Już popołudniu uporał się z zadaniem, które miało być wykonane do wieczora; już o godzinie 3-ej popołudniu wkracza do Mamajestie, oczyszcza wieś.

A równocześnie wali major Minkiewicz na pół-

noc i melduje o 6. popoł., że podszedł pod samą Witelówkę, zmuszając wroga do odwrotu...

W to graj! Z miejsca poczynamy pościg. Nasi ułani w ślad za ustępującym wrogiem. Nękać go, szerzyć panikę... W cwał pędzą oba szwadrony w zapadające mroki... Na widnokregu wyblyskują luny, kłębią się dymy. Dobry znak. Moskale cofają się...

Wśród dzikiego huku armatniego, oblepieni kurzem, przyczepionym do oblanych potem ciał — jedziemy do Łużan. Olbrzymi kompleks budynków fabryki cukru, w zgliszczach. Tli jeszcze koks obok zdemontowanych maszyn, unoszą się chmury dymu z belkowań i z wnętrza fabryki...

Do północy wytężona praca. Jęczy telefon — piętrzą się stopy meldunków — dziesiątki rozkazów i dyspozycji. Suną automobile z korpusu, rozbiegają się oficerowie ordynansowi, na przemęczonych koniach cwałują jeźdźcy meldunkowi...

10. czerwca. O 4-ej rano ruszamy. Zadanie dzisiejszego dnia: zajęcie Witelówki i wywiady w kierunku Sadagóry i Rohozny. Przed udaniem się drogą z Mamajestie do okopów sztabu, zwiedzam nasz lazaret w Łużanach, by mieć pogląd na wczorajsze straty. Dr. Stefanowski ze swoimi pomocnikami od 24 godzin bez przerwy w intensywnej pracy. Grupy Zielińskiego i Minkiewicza

miały stosunkowo bardzo mało strat — znacznie-
sze są u Lorsche, który klinem wbijał się w kie-
runku Kocmania i musiał przetrzymać dwa kontr-
ataki rosyjskie. Stąd kilkudziesięciu rannych.

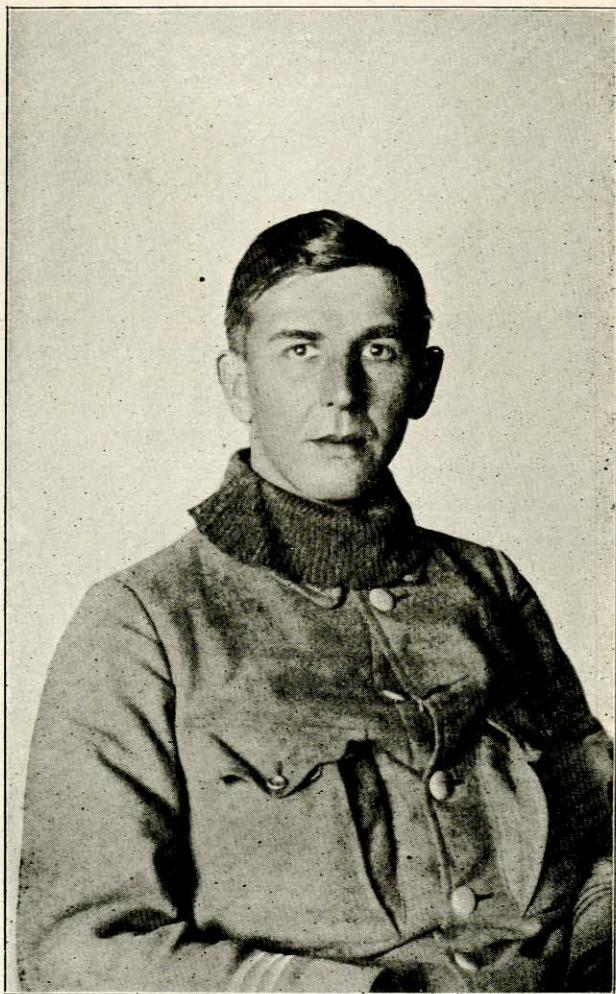
Przejeżdżam przez Mamajestie, które po wczorajszym gorącym dniu budzi się osłabione, jak człowiek, co przebył ciężką gorączkę i uspokaja się po dreszczach...

W rowie przydrożnym pod Witelówką impro-
wizujemy kancelaryę polową; rozkłada się mapy,
ustawia się skrzynkę telefonu. Bloczek meldunko-
wy do ręki i cały dzień wyteżonej pracy.

Zajęcie Witelówki poszło staremu Zielińskiemu
bardzo łatwo. W błyskawicznym tempie spędził
nieprzyjaciela ze wsi... Cudowny wódz...

Ale dalej? Ciężej. Nieprzyjaciel próbuje przecież
oprzeć się swemu losowi. Za Witelówką piętrzą
się również trudności terenowe. Więc na chwilę
zwalnia nasz marsz ofenzywny i utwierdza się
pewność, że w najbliższym czasie, już może ju-
tro, czeka Brygadę cięższa przeprawa.

Na noc zajeżdżamy do precudnego w swej sta-
rości dworka państwa Passakasów. Jak tu zaci-
śnie w tym staroszlacheckim dworze, tym parku
starannie pielęgnowanym... Stare malunki na
ścianach sal, — meble z dawnych, dobrych cza-
sów — i gospodarz z pękiem kluczy — i matrona
w czarnym czepcu — i weranda osłonięta dzikiem
winem — i klomby i róże kwitnące...



Ks. Władysław Antosz kapelan 2 pułku.



Kap. Łuczyński adj. 2 pułku.



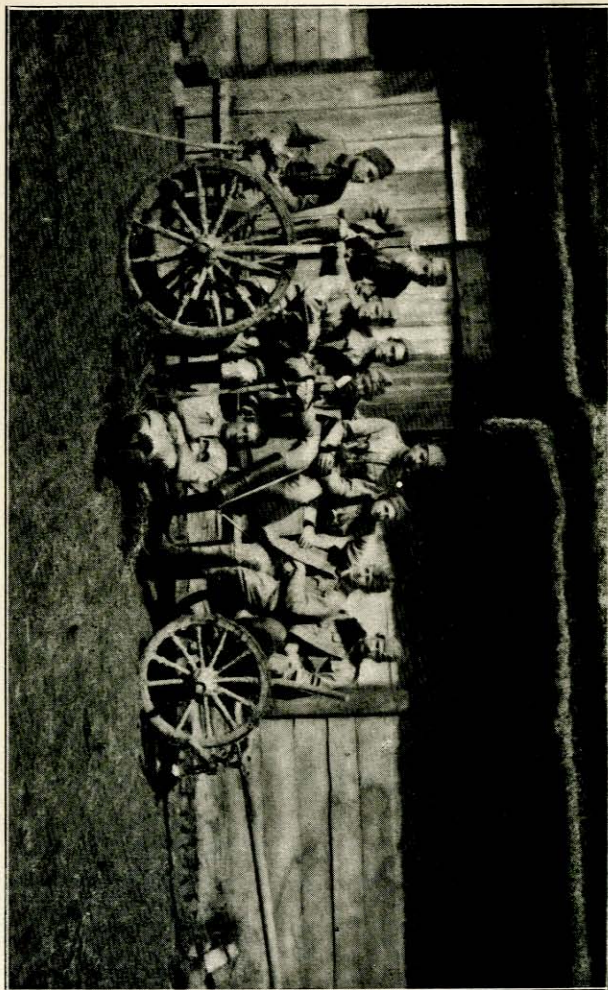
Por. Okołowicz.



Podpor. Dr Górka oficer ordynansowy Komendy II brygady.



Chor. Iwanowski.



A naokół grzmot armat i transporty pokrwawionych i walające się po niwach trupy i spocone, poczerwiałe twarze sunących w tyralierce i całun śmierci, rozpościerający się nad polami i znów na dalekim planie złote języczki ognia i kłęby dymu płonących domostw...

11. czerwca. W nocy i Brygada i wszystkie sąsiadujące grupy porozumiały się na decydujące pchnięcie naprzód. Rozerwać ostatnią zaporę — przedrzeć się.

Przez całą niemal noc pracujemy z wyczerpaniem.

Ledwo świt, naprzód. Musimy dojść do Zadobrówki i opanować gościniec, wiodący do Czernawki, a temsamem główną arterję ruchu z północnego krańca Bukowiny w jej głąb.

O 6. rano wre bój. Tak gwarliwy, jakiegom przez dziesięć miesięcy nie słyszał. Grzechot karabinów maszynowych, ryki granatów i świsty rozpryskujących się szrapneli łączą się nad naszymi głowami w chaotyczny chór, pełen zgrozy. Już o 7. rano nasza tyraliera sforsowała wieś Schubranetz i gwałtem prze na Zadobrówkę.

Atak na Zadobrówkę, wykonany przez pułkownika Zielińskiego, będzie na kartach Legionów jednym z najchlubniejszych epizodów. Stary pułkownik tak mistrzowsko poprowadził swą grupę, iż nietylko w południe stał się panem tego domi-

nującego nad okolicą punktu oporowego, lecz zaskoczył nieprzyjaciela, spędził w matnię, odciał możliwość ratowania się i zagarnął... Przeszło 500 jeńców, 400 porzucanych w ucieczce karabinów, milion naboju, doskonały karabin maszynowy — wpada w nasze ręce. Jak z saku wybiera się jeńców...

A przytem co za brawura, co za epizody!

Sanitariusz Kurpiel podsuwa się popod okopy rosyjskie, opatruje rannych Moskali, a na koniec sprowadza 122 jeńców...

Ulan 2-go szwadronu Garbaczewski dopada pluton rosyjski, stanowiący osłonę wycofującej się z frontu armaty. Poczyna smażyć karabinem ludzi, kładzie trupem oficera rosyjskiego, który się doń zmierzył z rewolweru i przyprowadza 24 jeńców...

Podporucznik Bardel z 7 kompanii, 3-go pułku zgrabnym ruchem oskrzydłującym odcina oddział rosyjski i prowadzi 135 jeńców i 4 oficerów rosyjskich.

Nasz zuch z pod Mołotkowa, Ökormözö, Tuma-cza, chor. Romaniszyn, szturmem wdziera się w okopy, mimo rany w szczękę, nie wycofuje się, kładzie trupem moc, a 65 Moskali bierze w niewolę...

Drużyna rosyjska 170-ta rozbita w puch. — Wszystkie jej kompanie albo padły, albo w niewoli. Kapitan Umaniec Wasylj, praporszczyca

Taworskiej Mieczysław, Miagczyńkow Aleksander, Tolkaszew Michał w naszym ręku.

Skutki zwycięstwa wielkie i odrazu widoczne.

Nie dając pobitemu wrogowi ani chwili wytchnienia — pędzimy za nim. Wkraczamy do Sadagóry, poza nią do miejscowości Szanzen — nie ma go. Nasze patrole konne i piesze mkną naprzód — nieprzyjaciel zwał... Opuścił Bukowinę. Skrył się w Bessarabii...

Do późna w noc trwa pościg. I znów luny na horyzoncie...

W ogrodzie owocowym jakiegoś popalonego domostwa w Szanzen kładę się po północy na murawie... Po głowie snują mi się słowa wstępne ostatniego rozkazu komendy korpusnej: „Das Korps hat durch Angriff der Polenbrigade den Feind geworfen“.

12. czerwca. Mamy dziś zająć ostatnie miejscowości na granicy bukowińskiej, Toporowce i Rańczę, potem przez pierwszą wieś Bessarabską Rokitną, wkroczyć na teren wroga.

Pierwsze zadanie bardzo łatwo daje się wykonać z tej prostej przyczyny, że nieprzyjaciel zwał... Z Rokitną ciężko. Ma tu nieprzyjaciel udogodnienia terenowe bardzo wielkie: jest okopany, ma szeregi rowów strzeleckich i umocnień technicznych.

Wieś Rokitna, terasowato rozsiadła na stoku wału górskiego, którego szczyt najeżony nieprzyjacielem. Z gaju obok spalonej leśniczówki folwarku Bucz, o jakie 2 klm. od linii nieprzyjacielskiej, widzimy doskonale okopanego wroga. Będzie trudny orzech do zgryzienia i znowu popłynie potok krwi...

Nasze oddziały podchodzą pod wieś, zajmują jej zachodnią połać, lecz dalej na razie ani rusz... A za naszą linią, w stronę lasu, na którym stoimy, dochodzą pociski armatnie rosyjskie. Nieprzyjaciel za wzgórzem ustawił baterie i ledwo kto z nas pojawi się na koniu po polach, wiodących do wsi, już nad nim rozpryskuje się szrapnel. Nasi oficerowie ordynansowi dziś w opalach. Dzielny Górka kilkakrotnie przecwałował.

Decyzja: jutro musimy albo sforsować wzgórze nad Rokitną, albo pójść precz. Bo obecna sytuacja niemożliwa.

I znowu kładę się na mchach w lasu z świadomością, że brzask dnia musi przynieść moment decydujący.

Trzynastego czerwca. Nietylko my, którzyśmy ten dzień przeżyli, lecz cała Polska pamiętać będzie ten dzień chwały i smutku. Jak ongi Somossiera złotymi głoskami wryła się w karty historii oręża polskiego — tak dzieci nasze uczyć się będą historii tego dnia, bardzi nasi opiewać

szarżę rotmistrza Wąsowicza na wzgórze nad Rokitną...

Nad ranem wykonała nasza piechota atak na wzgórze. Dotarła aż na kraj wsi i — stanęła. Dopóki jest na wzgórzach piechota rosyjska, doskonale ukryta w swych rowach, dysponująca mnóstwem karabinów, szeregiem karabinów maszynowych i armat, każdy atak unurza się w nadmiarze krwi i nie dojdzie...

Więc przyszedł rozkaz, by inaczej sforsować te zamienione w fortecę wzgórze. Kawaleryą.

Drugi szwadron miał rozkaz ten wykonać.

Poszedłem w okopy naszej piechoty i patrzę: W pięć minut po otrzymaniu rozkazu stanął szwadron wszyku. Parskają rumaki, siedzą na nich dziarskie chłopaki. Na przedzie rotmistrz Wąsowicz, z nim porucznicy Włodek i Topór, wachmistrze Adamski, Nowakowski, Sokołowski. Nawet w oficerze prowiantowym szwadronu Fąfarze rozgrał się animusz i pociągnął na szarżę. Za szwadronem na białym koniu lekarz Dr Bujalski.

Pognali przez pola i w odległości z jakich 3 km. od linii nieprzyjacielskiej rozwinęli się. I już cztery plutony z komendantem na czele na linię, już z klusa przechodzą w cwał, coraz dzikszy, coraz szybszy. Pędzą jak wichry, za nimi z ugorów rwie tuman, przed nimi błyszczy w słońcu wyciągnięte do szarży szable... Już są pod linią. Już

przeskoczyli pierwszy — pusty — rząd rowów strzeleckich, już gnają pod drugi...

W tem! Zatrzęsło się powietrze — wrzaski — huk — gromy! To salwy Moskali, to straszna pukania rosyjskich karabinów maszynowych z flanki, to rozsypują się złomy szrapneli rosyjskich. A ułani Wąsowicza pędzą, pędzą... Oto zleciał jeden — oto jak wichura gna koń bez jeźdźca — oto tam stanął dęba i ktoś potoczył się do okopu — oto znów kilku zleciało... Nie ustają salwy i szrapnele. Na miłość Boską! Już są za drugim rowem strzeleckim, już dobiegają ziemianek, już ich znowu kilku pokotem leży, już znowu kilka przerażonych koni bez jeźdźców mknie w dal, już przeskoczyli ziemianki i — znikają...

Jakby się w ziemię zapadli... Cichną salwy, przestaje grzechotać karabin maszynowy, blakną na niebie szare chmurki eksplozyi szrapnelowych. Straszna nastaje chwila ciszy... Każdemu z nas puka serce, jakby rozsądzić chciało piersi — coś nas dławi, dusi... Patrzę na oficerów... Nie poznaję ich wzroku. Dziw to był, zjawa, wizja — czy rzeczywistość? Rozegrało się to festum oręża polskiego przed naszymi oczyma, czy śniliśmy na jawie sen o husarskich skrzydłach, o rycerzu polskim?

I już przez wieś ściągają się ci, co przez tę gehennę przeszli i już znoszą i sprowadzają tych, co przez całe życie nosić będą znaki największego

bohaterstwa, na jakie nowoczesny człowiek zdobyć się mógł.

Więc ściągają — zapamiętajcie te nazwiska — ranni: porucznik Fąfara z przestrzelonym udem; chorąży Sokółowski z połamanym obojczykiem; kapral Sperber — ten słynny już w brygadzie sowizdrzał „Józio kapral!“ — z przestrzeloną nogą; ułan Metschke, technik z Monachium; student gimnazjalny Krawczyński, robotnik rolny Janiszyn, rolnik Brinken, rolnik Ściborski, student techniki Bokalski, co to całą noc przeleżał, udając trupa; bardzo niestety ciężko ranni Mechedin, Rotkel, Kulakowski, Stembart z przestrzelonymi płucami, Senowski, Jakubowski, Zamoyski, Stachura, Fir-lit...

Zwolna, do wieczora — ściąga wszystko, co... przeżyło.

Tego dnia nie mogę więcej w notatniku pisać. Nie mogę fizycznie i psychicznie. Kładę się w lasku na mchy, głowę opieram o pień dębu i — świt mię zbudził...

14. czerwca. Mówią mi towarzysze, że w ciągu kilku godzin zaszły rzeczy ważne i niespodziane. Moskale ustąpili z pozycji na wzgórzach nad Rokitną — bez strzału. Pod osłoną nocy cofnęli się w głąb Bessarabii. Nasze patrole domacać się ich nie mogą.

Na wzgórzach śmierci.

Przejeżdżam przez pustą, bezludną kompletnie Rokitnę. Cała ludność tej pierwszej bessarabskiej wsi pociągnęła z wojskiem rosyjskiem. Ze starcami, babami, dziećmi. We wsi niema żywej duszy...

Na wzgórzu jak widma stoją dwa wiatraki, a na trawnikach ofiary wczorajszej szarży.

Leży rotmistrz Zbigniew Dunin-Wąsowicz z raną, co przeszła przez całą jego pierś bohaterską... Leży porucznik Roman Prawdzic-Włodek, którego celny strzał w skroń z miejsca powalił... Leży porucznik Jerzy Topór-Kisielnicki, co to osaczony cztery razy zdołał wystrzelić ze swego rewolweru i ma na sobie skrzepłą krew kilkunastu ran. Leżą wachmistrz Adamski i wachmistrz Nowakowski, leżą ułani: student chemii Karasiński, student uniwersytetu Łuszczewski, gimnazjalista Majda, słuchacz akademii handlowej Zwaczko, technik z Liège — Potok, inżynier Rakowski, masaż z Kielc — Kubik, student uniwersytetu Rawski, włościanin Szysz, Dr. chemii Tworkowski.

Nie żądajcie, bym opisywał, co w tej chwili czułem... I nie żądajcie, bym pisał o tem, co nasze wojska w tym dniu zdziałały.

Szliśmy naprzód przez trzy z rzędu wsi bessa-

rabskie, po ugorem leżących polach, wskrós opuszczonych domostw, z sercami nabrzmiałemi smutkiem.

15. czerwca. Rano pogrzeb 15 bohaterów na cmentarzu w Raranczy.

Typowy, wojskowy cmentarzyk, który wichura wojenna uczyniła miejscem zbornem przyjaciół i nieprzyjaciół. Tu krzyż, a na nim wypalonych kilkanaście rosyjskich nazwisk, tu nasyp, pod którym leży garstka węgierskich żołnierzy, a tam rząd żołnierskich grobów bez nazwania. Wszystkich ich przyjęła matka-ziemia...

Tu pochowamy też drogie szczątki Wąsowicza, Włodka, Topora i dwunastu ułanów.

Rzędem wykopanych piętnaście dołów. Przed każdym trumna. Na świeżych deskach polne kwiaty i orzełek legionowy i furażerka ułańska. — Trumna rotmistrza okryta czerwonym sukniem z wyszytym na niem orłem polskim...

Przed trumną Bronisława Łuszczewskiego klęczy ojciec i brat... Pociągnął stary Łuszczewski z dwoma synami na wojnę; wszyscy do konnicy, jak na dobrą szlachtę przystało, jak na ziemianina, który — gdy wici legionowe rozbiegły się po ziemiach polskich — stanął do apelu i ofiarował siebie i obu synów. I oto starszego, 18 letniego, gdy we trójkę szarżowali, śmierć skosiła... Klęczy teraz stary, siwą głowę oparłszy o dłoń, koło

trumny swego dziecka, klęczy i szesnastoletni wyrostek przytuliwszy splakane oczy do kwiecica, rozsypanego na trumnie...

Dokoła stoją ułani, stoi garstka oficerów.

Kapelan 3-go pułku, ksiądz Panaś, odprawia mszę żałobną, potem smutny ceremonial pogrzebowy.

Nawet najbardziej zahartowanym lzy cisną się do oczu, dreszcz przenika, gdy ksiądz do modlitwy wzywa słowy:

...Zmówmy pacierz za dusze tych 15, którzy poszli na pewną śmierć, by jeszcze raz dowieść światu, że Polak wykona każdy rozkaz, choćby go życiem przepłacić musiał...

Nagle przed rzędem dołów grobowych staje zjawisko... Dajcie wyobraźnię Wyspiańskiego, pędzel Malczewskiego, pióro Żeromskiego — a może kto zdoła odtworzyć to, co teraz nastąpiło... Stał wachmistrz Sokołowski, uczestnik szarży, cały okryty białą bandażą, pokrywających połamane kości, ręce w temblakach, a z pleców zwiesza czarny płaszcz ułański. Stoi nad grobami, wysoki, z poraną twarzą, roziskrzonym wzrokiem — a wiatr powiewa czarnymi skrzydłami ułańskiego płaszcza... I mówi:

...Oto nasi towarzysze... Wysłani na śmierć, jechali z całą tego świadomością, lecz ani jeden nie zawrócił konia... Odnowili tradycję polskiego ułana z przed stu lat... Ponieśli śmierć bohaterską...

Patrzac na nią, niech wszyscy, wszyscy wrogowie nasi wiedzą i pamiętają o tem, do czego Polak jest zdolny... Ufajmy, że krew ta, przelana, na marne nie pójdzie... Że przechyli ona szalę tyłu już, tyłu ofiar i że dzięki niej nasze ideały narodowe będą urzeczywistnione...

Tak mówi bohater nad grobem bohaterów! Bez żalu, choć ból rozsadza wewnątrz, z tą wiarą niezachwianą, której nic zmącić nie może...

A potem stary porucznik Kordecki w kilku słowach żegna imieniem kawaleryi polskiej i — „Boże Ojczy, Twoje dzieci“ rozlega się nad cmentarzem...

Ktoś na głos zaszlochał, ktoś oparł się na wpół omdlały o jakiś krzyż, ktoś wodzi osowiałym wzrokiem po dołach... Drżą wszyscy, gdy rozlegają się słowa:

...Boże policz te mogiły,
te płaczące matki, żony...

A potem zasypaliśmy groby. Grudy objęły się o wieka trumien, gdy po przestworzu szedł śpiew pieśni ułańskiej...

...Spój, kolego, twarde łożo,
Obaczmy się jutro może...
Spój, kolego, w ciemnym grobie,
Niech się Polska przyśni tobie...

16. czerwca. Ściągnęliśmy na się chmurę nie-

przyjaciela. Cofnął się w głąb Bessarabii, by się tam ustawić i ku nam ruszyć.

Ledwo jeden dzień mieliśmy spokoju. Pod noc trzeba znowu być gotowym na dalsze wypadki.

Ustawiamy się wzdłuż granicy bessarabskiej, ostro na wsze strony patrolując.

Do naszych pozycji zbliża się cztery bataliony piechoty rosyjskiej i pięć sotni kozaków, pędzących przed sobą leniwą i zdemoralizowaną piechotę rosyjskiego pospolitego ruszenia. Lecz to tylko forpoczty. Za wysuniętymi tymi oddziałami stoi cały 32 korpus rosyjski, który właśnie odcinek Brygady Legionów obrał sobie za punkt, którego by mógł przełamać front i dostać się znowu w głąb Bukowiny. Nasze armaty wałą w nadchodzącego wroga. Hen na widnokregu widać dłużące się w nieskończoność kolumny rosyjskie.

Na gwałt prace przygotowawcze. I znowu rozpierzchamy się na wsze strony, ściągając amunicję, rozwołując rozkazy i znowu cała linia frontu zasłana pociskami armatnimi i znowu zapadające mroki przesłaniają widok boju.

17. czerwca. Atak nocny mochów szczeż! Odparty! Walili na nasze okopy nieprzejrzaną masą — nie wzięli ich.

O świcie powtórzyli atak. Znowu bezskutecznie.

Rankiem trzeci atak...

Zawiele tego Januszajtisowi. Więc: kontratak

oskrzydlający. Z tą genialnością, jaka tego człowieka cechuje i z tem szczęściem, jakie mu towarzyszy.

Jak ten kontratak został wykonany — o tem kiedyś strategia jeszcze obszernie pisać będzie. Narazie rezultat:

Moskale pobici na głowę. Trzy brygady rosyjskie, 29, 34-ta i 36-ta, starte! Tysiąc zdrowych jeńców u nas, przeszło stu rannych jeńców u nas, dwa karabiny maszynowe u nas, stopy ryszpunku, karabinów, amunicji — u nas!

Rosyanie wysyłają na stracenie mimo to wciąż nowe bataliony, widocznie korpus koniecznie chce przełamać naszą linię — wciąż nowe rotę załamują się o nasz ogień i wciąż nasi zagończycy pędzą przed sobą gromadę jeńców...

Pięć razy ponawiał nieprzyjaciół atak — i pięć razy załamał się...

Przed komendą Brygady stoi tysiąc jeńców, w naszym szpitalu opatrują lekarze setkę żołnierzy rosyjskich, w naszej jadalni stoi grupa ośmiu złapanych rosyjskich oficerów, na noszach prowadzą sanitariusze ciężko rannego podpułkownika rosyjskiego Iwana Rozikowa, komendanta 201 drużyny, a w lasku Bucz leży poległy brygadier rosyjski...

Będziemy kiedyś całe książki pisali o epizodach tego dnia:

O pojedynku na szable między porucznikiem

Dzikanowskim a podpułkownikiem Iwanem Rozikowem, stoczonym jak za zamierchłych czasów rycerskich przed dwoma frontami. (Walecznemu pułkownikowi, zmarłemu w ciągu najbliższej nocy w naszym lazarecie, oddaliśmy należne honory wojskowe i pochowaliśmy w Rarancy na cmentarzu obok grobów naszych oficerów).

O czynie 15-letniego Antosia Januszajtisa, który zoczywszy na 500 kroków przed naszą linią opuszczoną armatę rosyjską (obsługę i konie nasi wystrzelali) zmówił się z sanitaryuszem Tadeuszem Kurpielem — tym samym, który pod Zadobrówką sprowadził z okopów rosyjskich 122 jeńców — i ruszyli wzorem bohaterów Sienkiewiczowskich z pod Częstochowy i Zbaraża na „wycieczkę“ celem zdemontowania armaty.

Podsunęli się dwaj malcy wśród szalonego ognia pod armatę i — zdemontowali ją! Wyjęli klucz i zamek, a kiedy Kurpiel zostaje lekko ranny w nogę, Antos bierze go na plecy i przez piekło ognia skombinowanego niesie wraz z częściami zdemontowanej armaty do naszej linii...

Dziś mają Legiony dzień świąteczny. Brygada, od 10 dni wciąż w ruchu, wciąż w ofensywie, wciąż w boju — rozbija w pół dnia 3 brygady rosyjskie!

Straszny widok przedstawia pole przed naszą linią. Setki trupów rosyjskich, setki rannych.

A czerwcowe słońce śle swój pogodny, jasny uśmiech.

Do wieczora zbieramy lupy dnia.

I znów luna na wschodzie: nieprzyjaciel się cofa...

18. czerwca. Spokój na linii. Moskale cofnęli się, po wczorajszych ciągach, rozgromieniu 3 brygad odbiegła ich ochota zetknięcia się ponownego z Legionami.

